

Zbigniew Wawszczak

## „O miejsce słodkie gdzie się urodziłem!”

Brązowa, intensywna plama, którą tworzą korony bezlistnych o tej porze, potężnych, starych drzew, okrywa miasteczko od strony północno-wschodniej, od strony szosy przemyskiej. Czas wyszczerbił szeregi wiekowych drzew ale te, które przetrwały wszystkie burze, jakie przewalały się w ciągu stuleci nad tym zakątkiem kraju, są wspaniałe i niepokojąco piękne. Pod ich koronami ukrył się stary zamek, w zasięgu potężnego dębu stoi, jak dawniej na skromnym postumencie popiersie największego syna ziemi dubieckiej, „księcia poetów”, Ignacego Krasickiego.

Ach, gdyby opowiadać umiały drzewa i wyszczerbione mury zamkowe, w okolicy dawnego skarbczyka dochodzące do trzech metrów grubości! Ile barwnych opowieści, legend i podań — mogłyby przekazać!

Ten zapomniany dzisiaj, trochę na uboczu leżący zakątek dawnej ziemi sanockiej tętnił kiedyś bujnym życiem. Wolno przypuszczać, że warowny zamek dubiecki bronił się przed najazdami koczowniców stepowych, chronił ludność okolicznych wsi przed uprowadzeniem w jasyr. Gwałtowne toczono w miasteczku spory, gdy zawitały w te strony „nowinki” religijne i gdy zapłonęły do nich zapalem ówczesni właściciele Dubiecka. Przemianowano kościół katolicki na luteranski, to znowu na kalwiński zbór, by wreszcie po wielu woltach i zakrętach, z powrotem oddać go katolikom. Bywali w Dubiecku znakomici działacze ruchu reformatorskiego, tutaj prowadzili swoje szkoły, drukowali pisma. A później, chociaż zniknęli pionierzy reformacji, zmieceni przez napór ultrakatolickiej reakcji, nie miały końca targi, zajazdy skłóconych z sobą rodów szlacheckich. Zaglądał do Dubiecka, które przez jakiś czas stanowiło jego własność i Diabeł Stadnicki, ów duch niespokojny, warchoł nad warchołami, ale przecież nie wyjątek, w sukurs śpieszyło mu, jak gdyby zazdroścąc ponurej sławy, wielu naśladowców, tyle tylko, że mniejszego kalibru, skromniejszej fortuny.

Wiek siedemnasty niejako wyciszył namiętność, wojujący katolicyzm pokonał w zaciętych zmaganiach „nowinki” religijne, skazano na banicję elitę ariańską, w niepamięć poszła tolerancja, swoboda myśli i przekonań, z których szeroko sygnęła dawna Rzeczpospolita, przebrzmiały docierające aż pod Przemysł bunty kozackie, i wtedy to, w połowie stulecia gwałtów i wojen, szarpiących słabnący organizm polsko-litewskiego państwa, tutaj właśnie, w zamczku, ukrytym w cieniu przastarych dębów (stąd nazwa osady: Dubiecko!) urodził się wielki później dostojnik kościelny i znakomity pisarz, Ignacy Krasicki.

Z pięciu braci, synów zamożnej, lecz podupadłej rodziny szlacheckiej, czterech, w tym również najstarszego, Ignacego, oddano od dawna praktykowanym w kraju obyczajem do stanu duchownego, aby nie uszczuplać rodowej fortuny, przeznaczonej dla jednego dziedzica.

Nie wiem, jak wyglądało Dubiecko w czasach młodości „księcia poetów”, ale podejrzewam, że nie gdzie indziej zapewne szukał on pierwowzoru do konterfektu owego sfawetnego miasteczka ze znakomitych „Monachomachii, czyli wojny mnichów”:

„W mieście, którego nazwiska  
nie powiem,  
Nic to albowiem do rzeczy  
nie przyda;  
W mieście, ponieważ zbiór  
pustek tak zowiem,  
W godnym siedlisku i chłopa,  
i Żyda;  
Były trzy karczmy, bram  
cztery ulomki,  
Klasztorów dziewięć  
i gdzieniegdzie domki”.

Jedynie passus o klasztorach dałoby się zakwestionować, ale nie zapominajmy, że w swoim żartobliwym poemacie wyśmiał wielebny biskup ciemnotę i opilstwo mnichów. Wybuchł skandal, czemu się nie dziwimy, skoro autorem „Monachomachii” był wysoki dostojnik kościelny, ale był też zarazem jeden z najtęższych umysłów polskiego oświecenia, wyznawca jego racjonalistycznej ideologii.

### ZMIERZCH TRADYCYJNEGO RZEMIOSŁA

Dubiecko jest dumne ze swego wielkiego syna, rozumiem tę dumę tym bardziej, że poza nim miasteczko nie bardzo ma się czym pochwalić. Jak prawie wszystkie polskie miasteczka, zrujnowała je ostatnia wojna. Zbirzy hitlerowskie wywoząc, a częściowo na miejscu okrutnie mordując liczną tu ludność żydowską, zamknęli wielowiekowy rozdział z dziejów Dubiecka. Po wojnie przez długi czas było tu niespokojnie: drugi brzeg płynącego fantazyjnymi meandrami Sanu stanowił domę groźnych band nacjonalistów ukraińskich spod znaku UPA. Uplynęło kilka lat zanim w krwawych zmaganiach udało się ich pokonać, wiele osad wymazano wtedy z mapy, dziś jedynym po nich śladem są zdziczałe sady na stokach górskich, a wsie, które ocalały, po dzień dzisiejszy nie zaczęły jeszcze zadanych im ran. Dubiecko wprawdzie nie ucierpiało bezpośrednio od upowskich sotni, ale jako stolica spustoszonego rejonu ponosić musiało konsekwencje tych zniszczeń. Lata powojenne przyniosły zmianę struktury ludności. Zalamało się ostatecznie, w wyniku procesu industrializacji kraju, tradycyjne rzemiosło dubieckie. Popłynęła na wyroby rzemieślników, którzy siedzieli tu od pokoleń, spadł niemal do zera. Drewniane naczynia, jakkolwiek śliczne w swych kształtach, są już dzisiaj anachroniczne, jedynie na wsi i to w coraz mniejszym stopniu znajdują prawo obywatelstwa. Rozwijający się nowoczesny przemysł meblarski wyparł również wyroby miejscowych stolarzy. Że musiały być piękne, przekonuje się o tym w siedzibie Prezydium Gromadzkiej Rady, gdzie pokazują mi dużą szafę, zdobioną misternie rytym ornamentem roślinnym. Nie mamy, co prawda pewności, że szafa ta, pochodząca z dubieckiego zamku, wyszła z rąk tutajszych mistrzów, ale wszystko zdaje się wskazywać, że tak było istotnie.

Zniknęły więc dawne warsztaty, a wczorajsi bednarze, stolarze, przekształcili się w referentów GS, robotników budowlanych Spółdzielni Usługowo-Wytwórczej, Kółek Rolniczych. Są to obecnie najważniejsze instytucje, zatrudniające kilkuset mieszkańców

(Ciąg dalszy na str. 2)



Fot. CAE

Na święta zespół „Widnokregu” poleca:  
„kurcze po polsku” a nie kurcze żołądka

Kalman Segal

## W sprawie uśmiechu

Taka jest natura człowieka: każdy pragnie by się do niego uśmiechano.

Ja sam nie śmieję się zbyt często, bo wiem, że życie to poważna rzecz, ale lubię by do mnie się śmiano. Do mnie — ale nie ze mną.

Znałem jednego ponurego człowieka, który nigdy się nie śmiał, a gdy widział uśmiech na czyjejś twarzy, mawiał z wyrzutem: „Pan się śmieje, a mnie boli”.

Spotkałem kiedyś przyjaciela, z którym nie widzieliśmy się kopę lat. Ucisnął mnie serdecznie, ucałował i zapytał, jak mi się powodzi. Zamiast udzielić mu odpowiedzi, wybuchnąłem znaczącym uśmiechem. Zrozumiał. I prędko się pożegnał, z obawy, bym go nie poprosił o pożyczkę.

Można śmiać się lub uśmiechać z całego serca. I można inaczej, o więc także wtedy, kiedy człowieka krew zalewa.

Alc — czyż nie lepiej raczej uśmiechać się, niż opowiadać o dolegliwościach żołądka lub o tym, że uwierają nas ciasne buty?

Oczywiście, trudno wymagać, żeby ludzie uśmiechali się nieustannie. Ale od czasu do czasu — dlaczego nie? Gdy ktoś uśmiecha się do nas, mamy iluzję, że nas kocha. A któż z nas nie chce być kochany?

Nawet trucizna lepiej smakuje, gdy się ją podaje z uśmiechem. Kelnerzy mogliby coś na ten temat powiedzieć. Nieprawdaż?

Także ten maleńki felietonik piszę z nadzieją, że Czytelnicy zechcą skwitować go uśmiechem. Bo uśmiech nie wymaga żadnych kosztów, a umila życie.

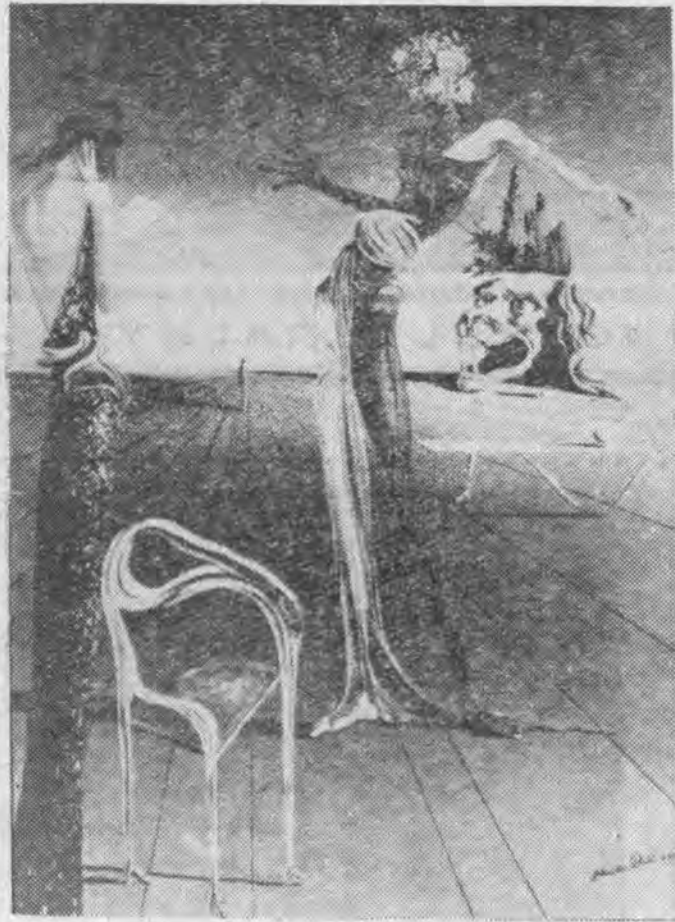
A w ogóle, proszę Państwa — wiosna. Wiosną zawsze jest piękniej i radośniej.

## Callas W Dallas

Od roku Maria Callas przygotowuje się do powrotu na scenę operową. Luchino Visconti oświadczył kiedyś, że uważa Marię Callas za największą aktorkę włoską od czasu Eleonory Duse, a Pier Paolo Pasolini powierzył jej tytułową rolę w przyszłym swym filmie „Medea” wg Eurypidesa. Pierwszy po przerwie występ Callas odbył się ma w... Dallas USA, co prasa zachodnia kojarzy ze znaną — manifestowaną zresztą publicznie — niechęcią śpiewaczki do obecnej pani Onassisowej, związanej przecież na zawsze z tym miastem. Począwszy od 1970 roku Maria Callas występować będzie na scenie Opery Paryskiej.

## „Płyta dla Europy”

Międzynarodowe festiwale i konkursy muzyki lekkiej, piosenki i piosenkarzy — stale się mnożą. Po raz pierwszy w tym roku odbędzie się w Lugano w dniach 17—19 kwietnia przegląd muzyki rozrywkowej tzw. Un disco per l'Europa („Płyta dla Europy”). Każde państwo może zgłosić trzech wykonawców i trzy piosenki, które w minionym sezonie odniosły największy sukces krajowy. Plonem konkursu stanowią „Płyta dla Europy”. (Kt — PAP).



Jak informowaliśmy, słynny malowany na drzewie obraz Salvadora Dali „Femme à tête de rose” („Kobieta o głowie róży”) skradziony został z galerii sztuki w Zurychu. Wartość obrazu ok. 100 tys. franków szwajcarskich.

CAF RINGIER

## „O miejsce słodkie gdzie się urodziłem!”

(Ciąg dalszy ze str. 1)

dawnego miasteczka Krasickich i odgrywające poważną rolę w jego rozwoju.

Sekretarz GRN, Ignacy Grzegorz, pracujący w administracji państwowej od 15 lat i zootechnik, Władysław Boratyn, których zastałem w biurze, wtajemniczając mnie w codzienne kłopoty Dubiecka.

Jak dalece miasteczko zdegradowane zostało w wyniku ostatniej wojny, najdobitniej świadczą o tym liczby: w 1939 roku liczyło ok. 3,5 tys. mieszkańców, dzisiaj ma ich niewiele ponad 700!

Zapewne pragnąc zapewnić Dubiecku miejski charakter, Wydział Architektury PRN w Przemyślu wydał decyzję, zabraniającą wznoszenia w centrum (gdzie po wyburzonych domach żydowskich powstało wiele pustych placów) parterowych domków. Decyzja w zasadzie słuszna, w praktyce jednak stanowiąca nieomal barierę nie do pokonania. Robotnicy, nauczyciele i urzędnicy tutejsi nie zarabiają aż tak dużo, aby stać ich było na wznoszenie piętrowych domów. Rzucając się w oczy nowoczesną willę w rynku, jak się wydaje jedyną w miasteczku, zbudował lekarz... Buduje się co nie co, ale raczej gdzieś na uboczu, tam gdzie nie obowiązuje ów „piętrowy” zakaz. Sekretarz Grzegorz wyliczył ok. 15 nowych domów, nie jest to dużo, we wsiach okolicznych ruch budowlany jest znacznie większy.

A tymczasem głód mieszkaniowy jest spory. Największe kłopoty mają władze ze znalezieniem przyzwoitych mieszkań dla nauczycieli dubieckiego liceum. Po kilkuset latach, od czasów głośnej szkoły utrzymywanej w Dubiecku przez innowierców, wreszcie uśmiechnęło się do miasteczka szczęście. Powołane najpierw prywatne, następnie upaństwowione liceum ulokowano z braku odpowiednich pomieszczeń w gmachu nie istniejącego już sądu, a na internat przerobiono dawny areszt! Wobec znacznej odległości Dubiecka od powiatowego Przemyśla (30 km), liceum tutejsze odgrywa doniosłą rolę w kształceniu młodzieży z rozrzuconych po górach wiosek, jest rzeczywistą bramą na świat dla niezamożnej młodzieży. Nie bez dumy wyliczono mi nazwiska absolwentów, którzy dorobili się poważnej pozycji na wyższych uczelniach. Liceum jednak pracuje w bardzo trudnych warunkach, a zebrane w czynie społecznym środki na jego rozbudowę od paru lat czekają bezużytecznie. Jak się wydaje, oglądanie się na firmy budowlane spoza miasteczka nie ma po prostu sensu, trzeba, aby wreszcie na serio zajęła się tą sprawą miejscowa Spółdzielnia Usługowo-Wytwórcza, to przecież dzieci jej pracowników są uczniami liceum!

### NA TROPACH DUBIECKIEGO PROF. TUTKI

Kiedy otwierałem drzwi starego domku, położonego nie opodal rynku, nie przypuszczałem, że jego gospodyni, emerytowana nauczycielka, Helena Kozak, sympatyczna pani o bujnych, posrebrzonych włosach jest krewniaczką poety, znanego również z ogromnego zainteresowania dla kultury ludności cygańskiej, Jerzego Ficowskiego.

Mieliśmy wspólnego dziadka — śmieje się pani Helena. — Jerzy był tu u nas parokrotnie, ostatni raz chyba z sześć lat temu.

Z zaciekawieniem oglądam urządzony po staroświecku domek. Rzeźbione fotele, stół o toczonych nogach, ozdobnie oprawne książki. Nieskazitelna biel jednej ze ścian kuchni przerywają miedziane słonce talerzy, patelni itp. naczyń.

— A to mój brat, notariusz, kocha się w tej starzyźnie — powiada pani Helena.

— Pamiętam taki okres, zaraz po niepokojach 1918 roku. Był tu adwokat Skąpski, sędzia Ślusarek, organista Pecherek, naczelnik sądu Kuzia, dziś już wszyscy nie żyją. Ludzie ci zbierali się razem, tam słyż opowiadania o przygodach wojennych, układane zabawne kuplety na stosunki miasteczkowe, to znowu wystawiano jakąś sztukę.

Ten dom urządzony jak przed półwieczem, ta relacja o adwokacie, naczelniku sądu, zapewne hodujących róże i układających kuplety, zagłębiających się w swo-

ich przeżyciach... Skądże ja znam tę atmosferę? Mistrz Szaniawski się kłania! Nie wymyślił tego broń Boże, taki był klimat polskich miasteczek, zresztą czy tylko polskich? Patrząc, czy aby nie pojawi się w stylowym meloniku pana Tutkowskiego brat gospodyni, pan notariusz, Stanisław... Ale nie przyszedł. Może to i lepiej, z pewnością nie nosi czarnego melonika...

— A dzisiaj?  
— Dzisiaj to chyba panuje w Dubiecku jakiś marazm — pani Helena zastanawia się — ale podkreślam, że to tylko moje własne zdanie. — Dzisiaj młodzi używają rozrywek w kinie, kawiarni, przed telewizorem, a nierazko i w gospodzie przy kielichu!

### SZKOŁA I POLITYKA

Tym człowiekiem jest kierownik szkoły podstawowej w sąsiadującym z Dubieckiem Przedmieściu, Jan Sura. Jego nazwisko padło parokrotnie w czasie moich wędrowek po miasteczku, nie dziwnego, nauczyciel! Sura zaangażowany jest „po uszy” w społeczną robotę, od paru lat pełni funkcję sekretarza Komitetu Gromadzkiego PZPR. Rzeczowe podejście do problemów dnia codziennego, umiejętność ich racjonalnego rozwiązywania, rzeczywiste zaangażowanie w działalność społeczną, dla której nie szczędzi ani sił, ani czasu, zjednały mu poparcie nieomal całego społeczeństwa.

— Widzi pan — kierownik podejmuje rozmowę — co się tyczy Dubiecka, można tu dostrzec znamiona pewnego kryzysu. Do 1939 roku było miasteczkiem, później w krótkim czasie przyszła degradacja. Ludzie z początku nie umieli pogodzić się z utratą miejskich splendorów, nawet jeżeli splendory te były bardziej pozorne niżeli rzeczywiste.

— Trudniej ich było na przykład przekonać do czynów społecznych. Ale wszystko się powoli zmienia, zmieniają się również postawy, mentalność dubieckich „mieszczan”.

### JUTRO DUBIECKA

— Przyszłość Dubiecka widzimy w rozwoju ruchu turystycznego — tłumaczył mi Jan Sura. Składają się na to przede wszystkim warunki zewnętrzne, śliczne położenie nad Sanem, pełniącym funkcję naturalnego kąpieliska, położenie na atrakcyjnej trasie wiodącej doliną Sanu z Przemyśla do Dynowa, wreszcie wartości historyczne samego Dubiecka. W starym zamku, który przekształcony został na dom wypoczynkowy Przemyskiej Wytwórni Płyt Piłśniowych, zakład ten własnym sumptem wyremontował trzy zażytkowe pomieszczenia. Powstaje tam muzeum biograficzne wielkiego dubieczanina, Ignacego Krasickiego, scenariusz ekspozycji przygotowują wspólnie Muzeum Ziemi Przemyskiej i Muzeum Mickiewicza z Warszawy. Będzie więc dodatkowa atrakcja dla turystów, spośród których wielu przyjeżdża tu już dzisiaj na lato.

Na przyjęcie ruchu turystycznego nastawia Dubiecko swoje poczynania gospodarcze. W najbliższej przyszłości GS wybuduje piekarnię i małą masarnię, w dalszej perspektywie planuje się budowę kompleksowego ośrodka turystycznego, na który złożą się hotel, restauracja, kawiarnia. Oby tylko plany te doczekały się rychłej realizacji, a wtedy Dubiecko z pewnością nie będzie narzekać na słabą frekwencję turystów! Chętnie przyjadą tutaj, aby poznać bliżej uroki ziemi, o której znakomity autor „Hymnu do miłości ojczyzny” („Święta miłości kochanej ojczyzny”), Ignacy Krasicki, sam często tu zaglądał, zawsze przepadałający za wieściami o ludziach, krewnych i przyjacielach z rodzinnych stron, tak pisał:

„O miejsce słodkie, gdzie się urodziłem!  
W tobie los zrzucił pierwszy wątek życia:  
Wyszedłem na świat,  
co zdarza, użyłem:  
A czas długiego wśród ludzi przebycia  
To zdziałał: gąbry się można odrodzić,  
Lepiej by było z ciebie nie wychodzić”.

## O Tatrach świątecznie

# Dziwy, o jakich ceprom się nie śniło

O Tatrach można nieskończenie... Nie tylko o nartach i wspinaczkach, o „Watrze” i „Jędrusiu”, o krokusach, halniaku i opalaniu się na Gubałówce — ale również o takich dziwach i sprawach, o jakich żadnemu z ceprow nie śniło. Bo czy kto wie na przykład, że w Tatrach mieszkają nie tylko niedźwiedzie, kozice i świstaki, ale również tygrysy i jaszczury?

### Polski tygrys

Pod tą obco brzmiącą nazwą kryje się największy z żyjących w Europie kotów, zwany „polskim tygrysem” — czyli ryś. W ilości mordowanych ofiar, często większych od siebie, jak sarny i kozice, ryś przewyższa znacznie niedźwiedzia i jest postrachem juhasów. Były wypadki, że w ciągu paru minut rozszarpał kilkanaście owiec.

Natomiast niedźwiedzie, które dawniej potrafiły porwać owcę, a nawet cielaka, obecnie przeszły na jarski wikt z jagód, borówek i malin. Jeśli polują, to tylko na ryby i na... turystów.

Pisano swego czasu, jak niedaleko Roztoki pewien miś zafundował grabulę przechodzącemu turyście. Ów, sądząc, że to miś-fotograf, przyjął wyciągniętą łapę, po czym wrzasnął i zemdał. Kiedy przyszedł do siebie, nie było już misia tylko wypatroszony do szczytu plecak. Miś nie pogardził nawet konserwami.

### Potwór w Morskim Oku

Opowiadają starzy gazdowie, że w Morskim Oku żyła, a może żyje jeszcze do dziś ryba z baranią głową. Wojtek Samek strzelał nawet do niej, a inny góral opowiadał, że „jechała z pół stawu z oddziawionym pyskiem w biały dzień”. Na owym jej baranym łbie tkwił wielki diament. Wybitny tatrolog Józef

Nyka twierdzi, że była to po prostu wydra. Ale czy ktoś kiedy widział wydrę z diamentem na łbie?

### Planetniki i dziwożony

Kto umie dobrze patrzeć, może spotkać się w Tatrach z różnymi dziwotworami, np. z planetnikami. Siedzą one w chmurach i władają deszczem, gradem, śniegiem i wszelką niepogodą. Bywa jednak, że schodzą między ludzi na ziemię. Planetnika poznać po tym, że jest niewielkiego wzrostu, ubogo odziany w mokre lachy, chodzi bosy i z gołą głową. Za odrobinę jedzenia gotów jest bezbłędnie przepowiedzieć pogodę.

Dziwożony zaś podobne są do kobiet. Różnią się od nich tylko tym, że są niesłychanie brzydkie, kosmate i o świecących oczach. Noszą długie, rozpuszczone czarne włosy i mają obwisłe piersi. Po lesie chodzą nago i mówią ludzkim głosem, zapraszając do tańca i do śpiewu. Toteż przeczorny turysta powinien się wystrzegać letniczek bez staniczka, o anatomicznych szczegółach przypominających dziwożone.

### Jak szukać skarbów?

O zbójnikach i o schowanych przez nich skarbach krążą nieustające legendy. Zdarzało się niekiedy, że rzeczywiście znajdowano te skarby w zakopanym w ziemi „kotleczku”, i o niejednym gaździe mawiano, że wzbogacił się dobrze takim skarbem. Aby wydobyć skarb, trzeba było jednak znać zaklęcia, zwalniane od strzegących go złych mocy. Panował wśród zbójników zwyczaj, że ukrywając kotlik zaklinali go w taki sposób: herszt zbójów spuszczał portki i gołym zadkiem przysiadł trzy razy nad zakopanym skarbem mówiąc: „Nikt cię nie otworzy, pokiel cię samo tak nie odpięcenuje!”

Innym sposobem na otwarcie kotleczka było znalezienie takiej

trawy, która służy do otwierania wszelkich zamków. Należało więc drewnianym kółkiem zatkać dziuplę dzięcioła, a wówczas ptak, chcąc dostać się do piskląt, przyniesie w dzióbku tę trawę i otworzy nią gniazdo.

A oto drogowoskaz z 1630 roku: dla poszukiwaczy skarbu „Zabie Jezioro w Tatrach. Jest na ścianie znak pół miesiąca i graca. Pod tym znakiem jest płaski kamień, pod którym jest wiele dobra. Są tam też głowy i kości człowieka z dawna kiedyś...” Kogo nie odstraszy przykład pomarłych poszukiwaczy, może spróbować!

### Tylko dla pań!

Od tatarniczek, wspinaczek i wycieczkowniczek w Tatrach uchował nas dziś Panie! Ale były czasy, kiedy kobiece tatarnictwo było prawdziwym wyciecznym. Pierwszą tatarniczką, o jakiej wspominają kroniki, była Beata z Kościeleckich Łaska, która w 1663 roku (cztery lata temu!) odbyła wycieczkę nad Zielony Staw Kiezmarski, za co ją potem mąż więził przez kilka lat w baszcie. Inną tatarniczką była Łucja Rautestrauchowa, która w wydanej w Poznaniu 1844 roku książce „Miasta, góry i doliny” opisała swoją wycieczkę w Pienniny i Tatrę.

Prawdziwej rewolucji w kobiecym tatarnictwie dokonała Natalia Janothówna, która w 1883 roku zdobyła Gierlach wchodząc nań w... spodniach! Przewodnik jej, Maciej Sieczka, opowiadając o tych wyprawach, w pewnej chwili ściszał głos mówiąc: „Przepraszając za obrazę uszu, ona chodziła w skórzanych hajdawerach!” — Takie to były nasze pierwsze tatarniczki!

(Z „500 zagadek o Tatrach” Stefana Kwapiszewskiego i z zasłyszanych opowiadań wybrał acz)

# 10 lat KKMP

Z okazji 10 rocznicy powstania Rzeszowskiego Ośrodka Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy oddajemy do rąk Czytelników autonomiczną kolumnę wierszy członków Klubu. Kolumny takie, stanowiące wynik porozumienia pomiędzy Redakcją „Widnokregu” a Zarządem KKMP, ukazywać się będą raz na kwartał.

Dziesiątki seminariów literackich i dyskusji warsztatowych z udziałem znanych pisarzy z Warszawy i Krakowa, organizacja konkursów literackich, indywidualne i zbiorowe — lokalne i ogólnokrajowe — publikacje w prasie i radiu, siedem indywidualnych pozycji książkowych, rzeszowski arkusz poetycki, dwa almanachy poezji rzeszowskiej i jeszcze więcej tomików przygotowanych lub złożonych do druku — to tylko częściowy bilans naszych dziesięcioletnich osiągnięć.

Zbigniew Jerzyna w napisanym przez siebie wstępie do II almanachu poezji „Gwoźnica”, który ostatnio ukazał się w związku z X-leciem istnienia Klubu, mówi już o rzeszowskiej szkole poetyckiej. Gwoli prawdy do stwierdzenia Jerzyna należy dodać, że rzeszowski KKMP — to także szkoła działaczy kulturo-twórczych zaangażowanych po stronie socjalizmu.

Wszystkich bowiem członków Klubu cechuje pasja społecznego działania — obok uczestniczenia w codziennym życiu kraju poprzez wykonywanie pracy zawodowej.

Dużą popularnością cieszą się również spotkania autorskie odbywane przez samych członków Klubu, bowiem — jak oświadczył na łamach „Kultury” Stanisław Grochowiak — „młodzi poeci rzeszowscy otwierają perspektywę na pełnię wydarzeń literackich, rodzimych, ale i ambitnych... Nie tolerują u siebie żadnych tricków, żadnego podkupowania publiczności za pomocą tandetnych motywów regionalnych; prezentują poezję, która chce być poezją powszechną”.

Tadeusz Kubas  
Przewodniczący Rzeszowskiego  
Ośrodka KKMP

## Franciszek Ceglak

### Zapis

gałęź — rozmach w owoc  
przetłony sen

jeszcze liść  
oddziela nas od kluczy  
w którym mieścisz się zaledwie

przetrwaliśmy ręce  
do śnieg wywlecze mnie przez polano  
pień

gdyż jesteście  
słowo  
miejsce  
na bezradną pamięć



## Edward Zolowski

### Wiosenne impresje

ruszyły rzeki słoneczne  
ptaki zakwitły zielenią  
przybyło nam więcej pieśni  
i miodrych kropel spojrzeń

bieleją domy i płoty  
i drzewa coraz jaśniejsze  
nawet Gertruda i Maria  
inaczej podają ręce

ubrane w pierwsze jaskółki  
kapia swe włosy na wietrze  
potem zbierają motyle  
wiśniowe liście jak wiersze

wrócą z dłoni i tęczy  
z muzyki sadów — kamieni  
z gorącej twarzy księżycy  
stygającej w oparach ziemi

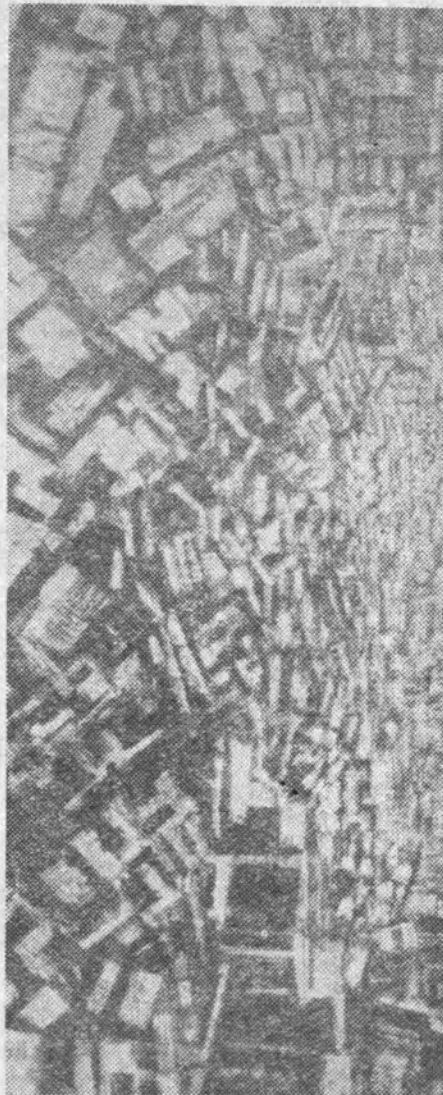
## Józef Janowski

### Będę błogosławił deszcz

Okno na kasztany otwarte  
na zielone od deszczu liście.  
Za chwilę ustają potoki  
rozbijają się ostatnie krople.

Wtedy wyjdę na ulicę  
wyciągnę przed siebie ręce.  
Napelnę je ciężarem ziemi  
i światłem południa.

Moje ręce będą jak ręce proroka  
albo jak ręce chłopca.  
Będę błogosławił deszcz.



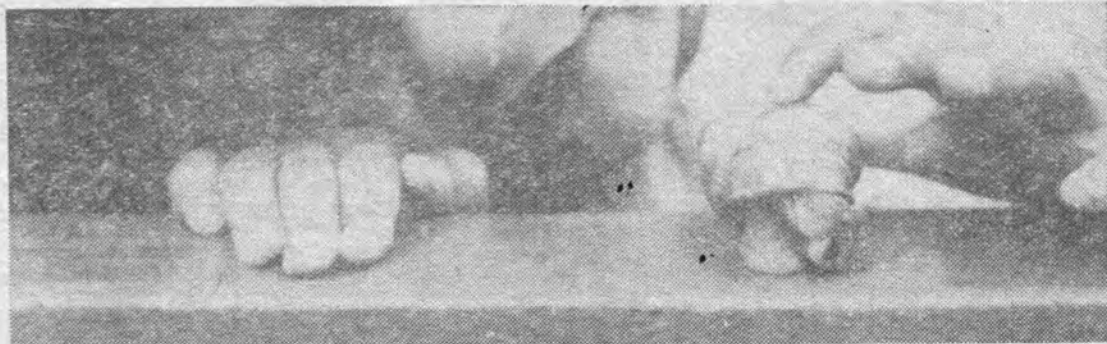
## Zdzisław Teneta

### W samolocie

Zostałaś  
w bieli rumianów  
i spłowiałych traw

W słonecznikach van Gogha  
miedź rozwianych włosów  
niemych ust kształt

W szczytach chmur  
smutek  
godziny skradzione  
na rozstajach  
dnia



## Emil Granat

### Nasze jarmarki

Idąc jarmarkow kolorową pogwarką, słyszę  
turkot toczonych antałków piw  
i wjeżdżające wozy kołodziejów. Tuż  
wąsate wkrąg przyspiewki pod osemki  
batów,  
przybliżonych zaułków pogwizdywania umorusane  
i głodne oraz  
pobekkiwanie niedojnych jałowic ze świecznikami  
na głowach  
wyrosłymi na pokaz.

Spotykam  
kuglarzy i magów targowanego chleba,  
atletów objuczonych worami bytu  
obcego, oglądam  
owocobranie dorodne i dojrzałe  
gnijące na straganach,  
zonglerkę  
noży, rąk i pieniędzy,  
mis i garnków  
żółtej, oczyszczonej gliny. Widzę  
jakiś pikantny obok  
krajobraz sylwetek i nadmierny  
kołys  
wypieczonych z wikliny w kształt pałaka  
i brzucha.

Przeczuwam żer szurzy wylegających z piwnic  
na odtrąbione targi, odór  
i pokrzyk pijanych placów  
przesuwających się w gardła bram, zapobieganie  
o miejsca, w zakupionych  
na podwójny użytek, nowych łózkach,  
znajomy  
powrót kół do zablokowanych gościńców i  
oczekiwanie studzien  
na parszające pyski.

## Jan Szelc

### Leżąc na mchu

na brzegu lasu  
w grubym puszystym cieniu  
zielonych pieter  
wydzwigniętych z ruin dni  
stygających w leśnym runie

pod głową poduszka  
szyta igłą sosny  
nasiąknięta echami wystrzałów  
czuję w niej  
jak pulsuje skroń żołnierza  
ubranego w mundur lasu  
słyszysz wołanie  
zatrzymane w pniach  
odeczytuję  
zaszyfrowaną trawę  
dokumenty okopów  
przechowane w leśnym archiwum  
i obejmują tę ziemię  
jak ciała pięknego ptaka  
wydartego ze szponów jastrzębia

tasują karty przeszłości  
z żywą obecnością  
której nieśmiertelne słońce  
łuk triumfalny zatacza  
na czystym niebie.

Austyna Woś

# Do Rzymu bez paszportu

Na próżno szukać tu legendy podobnej do mitu o bliźniakach: Romulusa i Remusa karmionych przez wilczycę, późniejszych założycieli „wiecznego miasta” nad Tybrem.

W kilkunastokilometrowej odległości od Rzeszowa za Malawą i za najwyższym w tej okolicy, prawie 400-metrowym wzniesieniu „Marii Magdaleny” — zakonspirował się mały przysiółek należący do Chmielnika. Wśród gęstwiny drzew obrastających wzgórze, rozrzucone są wiekowe chyłące się chałupy — Rzymu.

Od jak dawna i dlaczego nazywa ta przylgnęła do przysiółka

trudno dzisiaj autorytatywnie rozstrzygnąć. Można jedynie pokusić się o wysunięcie pewnej hipotezy. Wszelkie „Rzymy” „Paryże”, „Wenecje” itp. — są nader częstym zjawiskiem w nazewnictwie miejscowości. Jako ciekawostkę podać można, że pierwszy ślad Rzymu — nazwy w Polsce pochodzi już z 1390 roku. W „słowniku geograficznym” Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich z 1880 roku, czytamy:

(...) Rzym, niem. Rom wieś folwarczna w powiecie wargowickim (Znin) 3 km na zachód od Rogowa na zach. wybrzeżu jez. Ziolo. Regencye z

1618 roku nie wykazują już tej nazwy (...)

Ta najstarsza „rzymska” osada nie przetrwała długo, ale za to do dziś istnieje cała plejada miejscowości oznaczonych nazwami renomowanych miast europejskich. Natomiast kariera „Rzymu” wiąże się jeszcze z rozwojem zajazdów przy traktach drogowych — co zresztą wykorzystano w uroczej balladzie o Twardowskim — A. Mickiewicz. Taką słynną odnotowaną w dokumentach była karczma „Rzym” nad Wisłą, pow. gdański niż., która funkcjonowała jeszcze do 1869 roku. Równie sto lat temu!

W przysiółku Chmielnika nie ma żadnych śladów zajazdu. Szczelnie zamknięty wzgórzami, pozostał odcięty od świata, skromny, upadający — liczący dziś około piętnaście chałupek.

Dla współczesnych mieszkańców osobliwa nazwa — nie jest problematyczna. Ich osada jest jednym z wielu (ponad dwudziestu!) przysiółków starego, istniejącego na początku XV wieku Chmielnika. Obok Lisiego Kąta, Koła, Hajduków, jest więc Rzym i Ukraina. Nazwy a raczej przewziska stały się z czasem oficjalne. Nawet do dziś przychodzące od krewnych z Ameryki listy adresowane są „Chmielnik — Rzym, Poland”. Rzym uwzględniały także austriackie mapy z I wojny światowej, niemieckie z drugiej, honorowana jest nazwa i współcześnie.

Choć sprawa Rzymu wydaje się banalnie prosta — to nie jest to chyba przypadkowe przewzisko. Tu mogła narzucić się analogia do miasta siedmiu wzgórz. Sugestia naiwna. Ale kto wie? Skoro już mowa o prawdopodobieństwach, trzeba wziąć pod uwagę jeszcze jedną możliwość: założyciel osady mógł nosić nazwisko „Rzym”. Przemawiają za tym aktualnie jeszcze żywotne nazwiska w niedalekiej Błedowej i innych okolicznych wioskach.

## CZEKAJĄC NA GODOTA?

Powolny upadek. Los Rzymu jest przesądzony. Temu okrutnemu fatum, towarzyszy dziwna obojętność, a może raczej trudno uchwytny pogodny spokój mieszkańców. Nikt tutaj nie widzi możliwości odrodzenia Rzymu. Wszelkie udogodnienia przewidziane są jak zastrzyk świeżej krwi, przedłużający życie o kilka lat. Taka jest mentalność. Ich Rzym jest okazywał z walaciami się chałupami — a dla człowieka z zewnątrz przedstawia się jako zjawisko smutne i zarazem pasjonujące dostojnym starości.

Po 1945 roku objawiły się szanse dla młodych mieszkańców poza „zabitym deskami” przysiółkiem.

W Rzymie zostali sześćdziesięcioletni, siedemdziesięcioletni, osiemdziesięcioletni... Masowa emigracja do miasta, szkół, do pracy, a nawet gdy ktoś zdecydował się na gospodarowanie wolał urządzić się w Kraczkowej, Chmielniku, Malawie.

Jedyny nowy, murowany dom stanął jakby chciał uratować Rzym od upadku. Córka 80-letniego gospodarza Szyszki, pełna życiowej werwy wraz z obrotym mężem pozostała wierna ojcowiznie. Sposobem domowym wyprodukowano i wypalono cegły. Trzy lata temu dotarło do Rzymu światło elektryczne —

w jasnej izbie, tak jak każdej innej, nie odczuwa się różnicy. Są jeszcze młodzi, ale od czasu do czasu mać spokój pesymistyczna refleksja:

— Do sześćdziesiątki to jakoś poleci, a potem wegetacja...

Gdzie źródło tej uciążliwej świadomości?

Stratifikacja społeczna od wieków jest w Rzymie niezmienna. Z dziada pradziada życie na liwych morgach. Brak drogi przekreśla możliwość systematycznego dojazdu do pracy. Owszem, dojedzie do Rzymu karetka pogotowia, w razie potrzeby lekarz — ale o linii autobusowej nie ma co marzyć. Na co dzień nawet do sklepu trzeba przemierzać pieszo kilometry.

Wobec braku perspektyw — młodzi szybko pouciekali. W domu Szelowej został przy matce tylko jeden syn, który dzień w dzień pokonuje na nogach odległość do Malawy, a stamtąd dopiero PKS-em do pracy do Rzeszowa.

— I on mi już odkazuje, że nie zostanie tutaj — użala się Szelowa. Czy można się dziwić. Brat urządził się w innej wiosce, siostra w Łańcucie w nowym budownictwie, a matka cieszy się, że nadeszły czasy, iż dzieciom jest lepiej w życiu niż było jej samej w Rzymie. A jednak nie przeniosłaby się z chałupy o glinianym klepsku zamiast podłogi i jasno bielonej izby. Radio od córki — zaspokaja jej ciekawość świata. Tu zostanie i tak jak inni tutaj dopełni żywota.

W sąsiedztwie osiemdziesięcioletnia Dziurzyzna. Zwinęta w klebuszek czeka na łóżku aż przyjdzie wiosna i z nią zdrowie albo... śmierć.

— Żadne się nie śpieszy — uśmiech rozjaśnia pofalowaną twarz staruszki. — Jak tam w Rzeszowie? Chyba to teraz okropnie duże miasto? Byłam tam ostatni raz przeszło dwadzieścia lat temu. Zdrowa wtedy i silna jak koń! — wyjaśnia. Na cierpliwym czekaniu płynie też życie w rozspujającej się chałupie pod numerem 500 — Chmielnik. Nie ma tu elektrycznego masztu podobnie jak u Dziurzyzny — są to „obiekty”, które nie kwalifikowały się do zawieszenia żarówki. Po izbie hula wiatr i myszy. Franciszek Ciupak krótko i wezwłato określił: „jak nie ludzie, ale zawždy żyje”.

Zniszczony przez choroby jeszcze niestary, przegrał młodość kiedy mógł sobie zapewnić minimum potrzebnego do normalnej egzy-

stencji. Teraz ktoś się ulituje z sąsiadów, „Czerwony Krzyż” dostarczył jakiegoś odziewku, z „Opieki Społecznej” od czasu do czasu jakaś paczka, w jesieni dostał 400 zł. Przyobiecano mu sumkę i na wiosnę. Święta idą i nic... Chałupa się wali, zimno, wiosny nie widać i zdrowie chuderlawe.

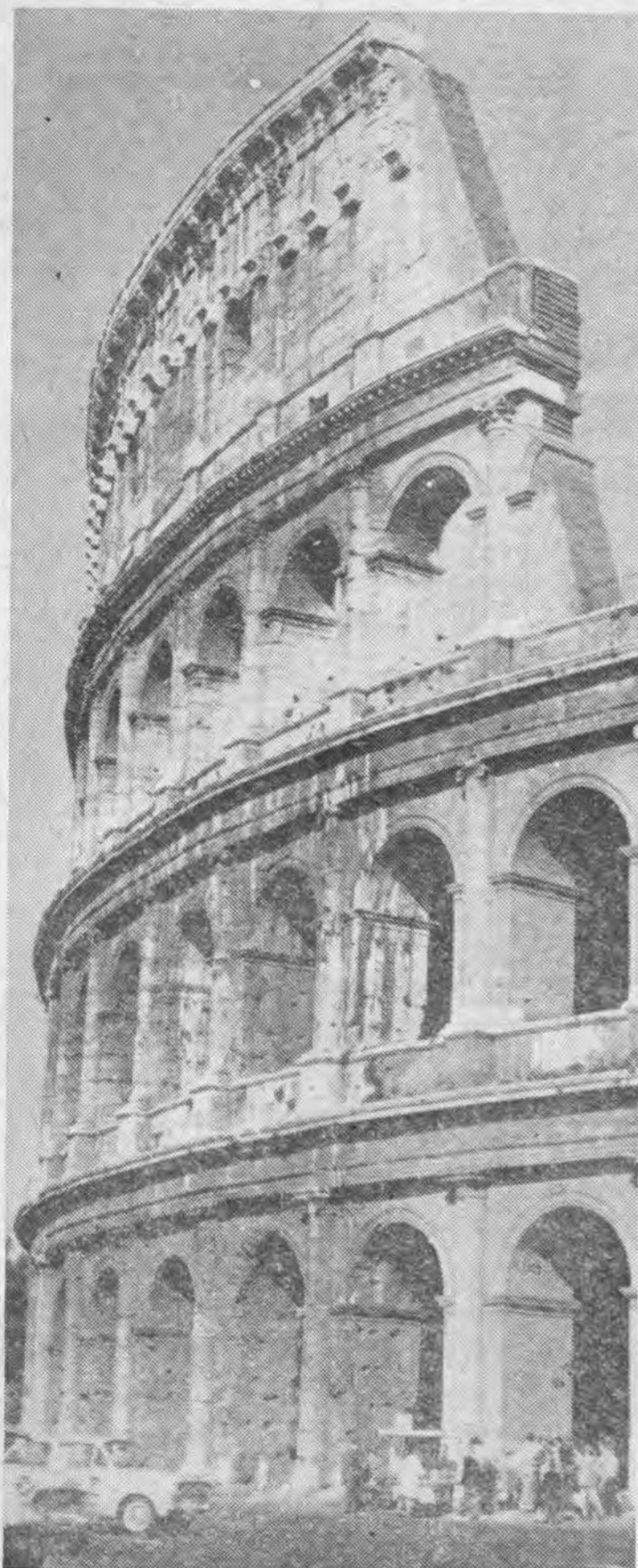
Ożywił się nagle, gdy błysnął długopis. Ciupak już skombinował sobie, że te niecodzienne odwiedziny — to komisja z „Opieki”. Trudno wyperswadować, że pomyłka. Uwierzył w pomoc, na którą czeka nim się całkiem rozsyple chałupa.

## BYĆ W RZYMIE

Ogarniając ostatnim spojrzeniem wzgórze Rzymu zdałam sobie dopiero sprawę ze znaczenia tej żywej lekcji historii. Tutaj wyraziście starły się: głęboko zakorzenione zacofanie w autentycznej galicyjskiej nędzy z postępowym teraźniejszości. Życie „rzymian” nie już radykalnie nie zmieni, sami zresztą od lat przyzwyczajeni do ubóstwa nie tęsknią za przeobrażeniami. Radość i spokój daje im poczucie wierności wobec ziemi i spełnionego obowiązku wychowania dzieci, którym ustrój zgotował lepsze życie poza Rzymem. Maleńki przysiółek jeszcze przez kilkanaście lat będzie miejscem odwiedzin najbliższych. Każde zjawienie się kogoś z „wielkiego świata” staje się wydarzeniem w osadzie staruszków.

Niemalym świętem będzie dla mieszkańców zakończenie w Rzymie młodzieżowego rajdu, organizowanego przez mgr W. Ziemińskiego, przewodniczącego Okręgowej Komisji Turystyki Pieszej przy PTK w Rzeszowie. Barwny cesarski orszak uświetni kwietniowy dzień w pięknym zakątku Rzeszowszczyzny, który przejął nazwę — od „wiecznej” Romy.

A i Rzym — Chmielnik miał swoją tradycję w wyborze... papieża. Nie było w tym nic ubliżającego prawdziwym pontyfikatowi w Watykanie. Ich „papież” — to honorowy tytuł nadawany „najstarszej głowie” — człowiekowi z reguły mądremu, statecznemu i szanowanemu w Rzymie. Na podstawie fragmentarycznych relacji trudno zdecydować w jaki sposób dokonywano samego wyboru, ile w opowiadaniach tych jest prawdy, a ile ludowej fantazji. Faktem jest, że w pamięci pozostał „papież” — Adamski, „papież” — Kasper Łazarz. Ostatni umarł podobno czterdzieści lat temu...



Koloseum..

CAF — fot. A. ŁOKAJ

## Listy DO PRZYJACIELA

Już to tak się dzieje, że święta i dni urodzin są cezurą, przekrawającą naszą dorosłość na roczne etapy, są powodem do oglądania się wstecz i cichego podliczania ile ich było, jakie były, czym się zapisały w naszej pamięci. Toteż na równi ważnym wspomnieniem będzie to o ataku kolki wątrobowej, jak i to o bukietiku fiołków, wręczonym przez admiratora; to o nadmiarze jarzębinowej nalewki — jak i to o niespodzianym gościu, który zjechał w nasze progi. A jest to w końcu czas wielkiej wędrówki rodzinno — przyjacielskiej, oczywiście bez pakowania piknikowych koszyków, bo sprawy żółtka przywykliśmy zalać szybko i byle czym; pakujemy natomiast w nasze serca wszelką życzliwość, której brakuje nam tylekroć w ciągu roku, usta miodem słów serdecznych smarujemy i gromadzimy w

podróżny mieszek pogodę, uśmiech, dowcip — na co tam kogo jeszcze stać. Takim bagażem obarczeni jedziemy na podobój naszych najbliższych.

W momencie kiedy to piszę — Ty zapewne pakujesz już skarby afektów i zastanawiasz się, jakim powitaniem mnie ośnić, gdyby nam los zgotował spotkanie. Przeczuję, iż będzie ono tak pięknie obmyślane, że rozjaśni niepogodę, przekreśli zmęczenie moje przedświąteczną harówką i rozchmurzy mnie na resztę roku.

Bo trzeba nam wzruszeń, serdeczności, miłych słów, urody towarzyskich rozmów, wzajemnych wynurzeń; trzeba nam ludzi miłych, mądrych, nie tylko sobą zajętych; trzeba nam ich uwagi, ich troski i o nasze sprawy, ich zainteresowania naszym życiem — naturalnie zainteresowania nieco innego pochodzenia jak owo kawiarniane, co to wy-

## Krystyna Swierczewska

## W stronę romansu



Kiedy rodził się zamysł „Odwetów” w wielu miejscach Polski płonęła nienawiść i płonęły domy, a racją w dyskusjach ideologicznych bywał strzał. Wiele sumień przyczajonych czekało na białego konia i w tym czekaniu daremnym albo wyrzucało z siebie nienawiść, albo gorzknięło w zaciętości, przegrywając, tracąc siłę argumentacji, wpływy na otoczenie, tworząc zbankrutowany legion z pojęciami czegoś honoru, jak w „Odwetach” i ich pierwszym kształcie — okrutnego w skutkach. Leon Kruczkowski nie bez racji zmienił pomysłań w pierwszej wersji sztuki śmierć Julka — rozpaczliwą i niepotrzebną, okrutnie mu obmyśloną, właśnie z tym argumentów o honorze i blamażu politycznym — w próbę samobójstwa i tak pozostawiwszy ten konflikt rozstrzygnięty, otworzył

możliwość młodzieńczej walce sumienia, która zapewne nie będzie długotrwała, bo chłopcu wystarczyła jedna noc do świadomego wyboru drogi. „Odwet” są dramatem Julka — chłopaka z pokolenia Kolumbów, który przeżył powstanie, który zabijał, któremu wojna przerwała młodość, któremu matka zgotowała najbardziej wstrząsającą niespodziankę — nieznanym ojcem; ustawionego przez autora w tragicznej kolizji ze światem, z rodziną, ze swoimi 18 latami wreszcie. Kruczkowski tworząc sytuację konkretną, z licznymi odniesieniami w przeszłość, tę przeszłość, która w istocie konflikt zawiązała i umieszczając w tej sytuacji postać — niewidoczną przez cały I akt, mimo to centralną, zaczyna rozgrywać raczej dominujące nad całym życiem polskim pierwszego roku formo-

wania się władzy ludowej. I toczy się przed widzem batalia o najlepszy kształt Polski, o prawo do spokoju, młodości, uczciwej pracy. Gdyby pokusić się o zewnętrzne porównanie tej sytuacji, w zapleczu widzę arcywzór mannowski sporu o duszę Hansa Castorpa, jaki wiodą w „Czarodziejskiej górze” Settembrini i Naphta. Podkreślam jednak raz jeszcze, że porównanie to odnosić tylko do czysto zewnętrznej sytuacji, w sferze idei jest ono bowiem odległe, w ciężar gatunkowym obu utworów — przez sadzone... „Odwet” wystawiano w Rzeszowie przed 20 laty i myślę, że miały wtedy wymowę szczególną, jeśli zważy się, że właśnie Rzeszowskie było najdłużej ogniskiem zapalnym i najpóźniej w nim skończyła się wojna. Wystawione dziś ponownie przez Teatr im. W. Siemaszkowej z

myślą o uczczeniu obchodów 25-lecia Polski Ludowej mogłyby budzić wiele refleksji, zmusić nas do cofnięcia pamięci w początki tego ćwierćwiecza. Bo faktycznie czas zamazuje nasze widzenie tamtych lat. A przecież to z nich wynikają nasze dzisiejsze postawy; z tego, cośmy wtedy słyszeli i ileśmy z tego zrozumieli; ile nas z tego porwało, co nas zauroczyło w zmaganiach nasz wiek kształtujących. Znany już bieg socjalizmu w Polsce, będąc o ćwierćwiecze stary, zostawiając daleko w tyle tak Jagminów i nie Okuliczów — zaczynamy w „Odwetach” widzieć historię. Złe byłoby jednak, gdyby nam martwa miała ona pozostać; gdyby nieumiejętnie zaspokajała naszą ciekawość tamtych czasów. A boję się, że takie wrażenie zostawia spektakl reżyserowany przez Zbigniewa Maka.

Pierwszy i najważniejszy zabieg, z którym zgodzić się niepodobna — to przesunięcie punktu ciężkości ze starcia tych postaw — Jagmina i Okulicza w stronę romansu, melodramatu sprzed laty. Zdrada Sabiny i cała ta otoczka obyczajowa pospolitego w gruncie rzeczy zdarzenia urasta do rozmiarów niemal apokaliptycznych; to co Kruczkowski skonstruował — owo zaplecze rodzinne Julka, potrzebne postaci, by żyła daleka schemat — tu stało się motywem głównym. I właściwie wszystko inne blednie: błędna racja Jagmina, komunisty i inteligenta, który dawno wiedział, że jedyna droga — to socjalizm, twórcza praca i walka w imię tej pracy; błędnie świetnie skonstruowany dialog finałowy Jagmin—Okulicz, dialog dwojga wrogów w kategoriach ideowych i nagle zaczynamy podejrzewać, że najpierw stoją przed sobą kochanek i mąż, dopiero później — adwersarze polityczni; brak jest siły i blasku nocnej rozmowie ojca z synem, bo Jagmin prowadzi ją tak, jakby od początku wiedział, że najpierw musi być ojcem, potem dopiero nosicielem nowej ideologii.

W takim składowaniu scenicznym „Odwetów” nie zdziwi chyba użycie przez mnie trybu warunkowego nie wstępie, że mogłyby budzić i dziś wiele refleksji. Mogłyby, gdyby uciekły od taniego romansu, a zajęły się warstwą ideową, dla której napisał je w końcu Kruczkowski. Gdyby udało się stworzyć ów klimat roku 1946, nie polegający na wylamywaniu palców, com zobaczyła, ale na niepokoju ducha, niepokoju moralnym. Rozdziała się przecież epoka narodziła od problemów; zostały

z nich w spektaklu ledwo deklaracyjne odpryski, które Jagmin Tadeusza Mroczyka deklaruje bez wiary w ich treść ciągle żywą, bez krzty żartobliwości, jaką wtedy miewali ludzie-działacze, ludzie-pedagodzy. I nie bardzo wiem, skąd ten mir jego w społeczeństwie, skąd autorytet, tak starannie przykrywany przez aktora nijakością, zmęczeniem, bezbarwną intonacją.

A Okulicz Wacława Rybczyńskiego? Tanio demonizujący, cały złożony za schematów wroga klasowego, z którym ani walczyć trzeba, skoro taki papierowy. A przecież to on jest motorem próby samobójstwa, ukrytą sprężyną spraw bolesnych, wewnętrznej rozdarcia nie tylko swojej, ale wielu rodzin! To nie jest w żadnym wypadku wróg wyimaginowany czy parodia wroga — to jest ów autentyczny antagonistą wszystkiego, co zdrowe rozdziły tamte lata.

Osadzone pośrodku dwu wydzierających go sobie wzajemnie, acz bez przekonania, „ojców” — Julek traci partnerów. A szkoda — bo jedyna rola przemyślana, grana świeżo — to właśnie rola Jerzego Kulickiego; niestety — w próżni zawieszona, nie budząca rezonansów u współpartnerów, ale nam, widzom, podpowiadająca ton, na jakim „Odwet” można było zagrać. Ton prostoty i zaangażowania ideowego. Skoro zaś brakło tego tonu — czynienie z „Odwetów” melodramatu romansowego wydaje mi się najmniej stosownym przedsięwzięciem, zacierającym nie tylko zamysł autorski, lecz i nasze wyobrażenie o sztuce, która obiegła dosłownie wszystkie sceny polskie.

I już na zakończenie dodam, że zawsze uważam premiery za spektakle gotowe, dopracowane, przeto, gdy suflera słychać podczas ich trwania donośnie i często, gdy odpowiada on niemal całe kwestie — premiera automatycznie pozostaje próba.

Teatr im. Wandy Siemaszkowej. Leon Kruczkowski — „Odwet”. Reżyseria: Zbigniew Mak. Scenografia: Irena Perkowska. As. reżysera: Tadeusz Mroczek. Osoby: Stefan Jagmin — Tadeusz Mroczek, Okulicz — Wacław Rybczyński, Sabina, jego żona — Jadwiga Ulatowska, Matylda — Anna Kujalowiec, Julek — Jerzy Kulicki, Lemański — Antoni Kossowski, Lemańska — Zofia Gorczyńska, Urbaniak — Tadeusz Krasnodębski, Teresa — Jadwiga Wysocka. Premiera 27 marca 1969 r.

Podpis pod zdjęcie: „Odwet”. Jagmin — Tadeusz Mroczek i Julek — Jerzy Kulicki.

plywa ze zgrzybliwej nudy, skrzyżowanej z kompletną niezajomością naszego sposobu życia. Cały rok się borykamy z mitami o sobie, cały rok bądź je przekreślamy, bądź milczymy wzgardliwie, gdy próbują się dogrzebać cnot naszej prababki — w te parę wiosennych dni strącamy wszelką obrzydliwość z naszych stołów i siadamy do nich wyzwoleni z codzienności, z puszystym kurczątkiem pośrodku, zielenią pachnącą, futrzanymi baziami i pisanką, wykąpaną w cebulowych łupach, bądź kielkującym życie. Kiedy oprócz plastru szynki mamy jeszcze tuł mądrej rozmowy — czyż trzeba nam piękniejszej wiosny? Czujemy się jak żeglarz na koniu, rozważając przy tym całą poezję tego niezwykłego zestawienia...

A porównanie oczywiście nie jest moje i zapewne wiesz już o kogo idzie? Bo w końcu znana to metafora przy nazwisku Jacka Londona; sam ją w końcu wymyślił, sam chciał napisać autobiografię tak właśnie zatytułowaną. Nie wiem, czyś oglądał ostatnimi czasy w telewizji czechosłowacką ekranizację Martina Edena — tradycyjną, wierną oryginałowi, smutną ponad miarę i szlachetną, tą zapominaną szlachetnością, wynikającą z upartych dążeń do wielkiego, raz obranego celu. Sięgnęłam po filmie po biografii Londona

napisaną przez Irvinga Stone i czytając ją raz wtóry, zastanawiałam się nie tylko nad pełnią życia, ale i nad tym, jak łatwo zwarzyć tę pełnię życia ludzką przewrotnością, małością celów, przyziemnym żerowaniem na naszej prostocie i dobroci. Ile wtedy sił rozprasza się w walce z brzydota, ile inteligencji marnuje w prozaicznym wyjaśnianiu własnego modus vivendi; ile zniechęceń trzeba wyrzucić na margines życia...

To wszystko sobie myślałam, czytając o gigantycznym upiorze, w tle mając te kilkadziesiąt księzek, które doczekają się u nas pięknej edycji pod nazwą Dzieł Zebranych. Na pewno są od nich inne, doskonalsze literacko, intelektualnie głębsze — lecz niewiele jest takich, które rozdziłyby się w podobnym trudzie i którym tak cudownie prze wodziłaby szczerość, prawda, płomienna wiara w człowieka.

London popełnił samobójstwo. Wydaje mi się to samobójstwem najtragiczniejszym samobójstwem w historii literatury, bo popełnił je człowiek silny i świat dom kresu, zważywszy, że sam obliczał z wrodzoną mu pasją do ścisłego myślenia, który z rzędu miligram morsfyny zdecydował o śmiertelności. Uwielbiany przez kobiety — nie miał szczęścia do kobiet; świetny żeglarz — zrujnowany nieumiejętną budową własnego statku;

pierwszy farmer — racjonalizator — agronom, któremu było padać jak muchy, sekwoje schną, dom trawi pożar; najlepszy budowniczy wśród pisarzy, który nigdy nie doczekał się realizacji swoich projektów. Gospodarował w pierwszej połowie XX wieku, przewidując porządek co najmniej drugiej jego połowy. I najbardziej przyjazny wszystkim człowiek, którego wszyscy wykorzystują, obdzierają z majątku, wyśmiewają za plecami. Zobaczył tę prawdę na pięć przed dwunastą; stwierdził, że dalej nie warto... Żeglował na koniu.

Zostały po nim nie tylko książki — został przykład na upór i smuga szlachetności.

London kochał biesiadę. Spraszał wszystkich trampów ze szlaku i największy pokój w jego wiecznie rozbudowanym ranchu — to właśnie była jadalnia. Był ciekaw wszystkich ludzi — brał z nich głupotę i dobroć; chamstwo i szlachetność; darzył ich jednakową uwagą i jednaką serdecznością. Jest jakiegoś rozpamiętanie szczerze w tym obdarowaniu wszystkich swoim dostatkami dolarowym i nadmiarem uczuć. Nieznane dziś, niepraktyczne, a przecież urzekające. Stół u Londona zawsze przywodził na myśl święta, uroczystość, obfitych i nie było w tym chęci zabylińczenia dostatkami czy pychy nuworysza, który z

chłopa płąającego się wśród portowych szumowin wyszedł na szczyty sławy; ale był w tym strach przed osamotnieniem, lęk przed zostaniem samotnie wśród czeków i finansowych kombinacji, radość z drugiego człowieka.

Pożeglujemy sobie na koniu przez parę świątecznych dni na naszą własną skalę. Będziemy troszkę utopiłni i podnieceni nastrojem naszych stołów. Będziemy szukać własnej biografii. Przy rodzinnych stołach zapewne poczynamy bilanse naszego życia dotychczas i plany na nasze życie później. Dobry stół, dobra szynka, dobra nalewka są świetnym środkiem pobudzającym do projektów. I właściwie nic tu powiedzieć nie wypada na temat samych projektów; czy krótkie je szeroko, z rozmachem, na wyrost i wiek stuletni — czy skromnie, na lat pa-

re, z hamulcem realiów, z ostrożnością, którą rzeczywistość podpowiada. Wiemy, że garnitur szyty na miarę jest solidniejszy; ale czy nie daje zabawy oczom kusa szmatka, zlepią smakiem, wyczuciem koloru, przybrana barwnym akcentem, którą częściej można zmieniać, bo nie powstała z dostatku lecz pomyślu?

Tak tedy bijąc się z myślą, czy mam gdzieś własną rację i nie podejmując się, aż przy świątecznym stole, faktu rozstrzygnąć — rozpinam neseser, upychając w nim trochę uśmiechów, wszystką radość, jaka na mnie wraz z wiosną przychodzi, ciepłe słowo dla Ciebie, parę własnych myśli, byśmy się z sobą nie nudzili i gotowa do świat — smakuję powolnie zanurzenie się w odpoczynek.

KRYSZYNA



Ryszard Dzieszyński

# GALICJANIN KSIĄŻĘ PEPI

Książę Józef Poniatowski jest postacią historyczną, bardzo popularną wśród Polaków. Każde dziecko w szkole słyszało o bratanku ostatniego króla Polski, dzielnym księciu Peppi, walecznym rycerzu i ulubieńcu dam, który patetycznie stwierdził: „Bóg mi powierzył honor Polaków”, runął z koniem w nurty Elstery i poniósł śmierć. Ta opinia, tak obiegowa, nabierała coraz bardziej cech dwuznacznych, do tego stopnia, że Wiech włożył w usta swego bohatera, pocziwego, acz niezbyt mądrego pana Piecyka opowieść o „znanym oczajduśszy, niejakim księciu Poniatowszczaku, który utopił się po pijanemu w rzece, wydając przy tym kabotyńskie okrzyki”. Na taki wykład z naszych dzieł ojczystych oburzył się słusznie płk Zbigniew Załuski w książce „Siedem polskich grzechów głównych”. I pomyśleć tylko: stoi w Warszawie pomnik księcia Józefa, jednego z najwybitniejszych Polaków, a mimo to Warszawa już nieraz wyrzuciła księcia afrońty.

A dla Polaków w dalszym ciągu utrwała się stereotyp wodza-bawidamka, wodza-szałęca, wodza-uparciucha. A przecież płk Załuski doskonale wyjaśnił motywy postępowania księcia Poniatowskiego, zarówno przed bitwą lipską, jak też w czasie bitwy. Śmierć w nurtach Elstery nie była aktem rozpaczki, wynikiem samobójstwa, ale po prostu — kwestią nieszczęśliwego przypadku.

Poniatowski pochodził z rodziny na polu już zaustriaczonej. Jego matka wywodziła się ze zniemczonej szlachty czeskiej, ojciec był austriackim feldmarszałkiem, oboje zaś obracali się w kręgach zbliżonych do cesarzowej Marii Teresy. Młodego ks. Józefa zachęcił do służby wojskowej jego imiennik i niemal rówieśnik — cesarz Józef II. W ciągu 9 lat służby Poniatowski przeszedł przez wszystkie szczeble kariery pułkowej, od porucznika począwszy, a kończąc na stopniu pułkownika. Był adiutantem cesarskim i dowódcą pułku szwoleżerów gwardii. Mając 25 lat, już jako pułkownik, został ranny w czasie szturm na twierdzę turecką Sabacz, kiedy osobiście wiodł do ataku swych żołnierzy. Jego zasługi były wysoko cenione. Otwierała się przed nim wielka kariera. Mógł w przyszłości zostać nawet głównodowodzącym armii austriackiej. Ale gdy w 1790 r. królowski stryj wezwał go do kraju, nie zawahał się ni chwili. Mianowany generał-majorem, odbył w 1792 roku kampanię rosyjską, jako dowódca armii koronnej. Bitwa pod Zieleńcami była sukcesem oręża polskiego. Brat potem udział w Insurekcji Kościuszkowskiej, odrzucając wszelkie ambicje, nie wahając się służyć pod rozkazami swego byłego podwładnego Tadeusza Kościuszki, który okazywał mu w zamian zawsze pełne zaufanie, mimo porażki, jaką Poniatowski poniósł w walkach o warszawską Wolę, odebrana mu przez Prusaków. Wojna jest wojną... Ale Warszawa wtedy po raz pierwszy okazała mu swą niezwykłość. Podejrzewano go nawet o zdradę, mimo iż był to po prostu wynik liczebnej i technicznej przewagi nieprzyjaciela.

Po trzecim rozbiore książę nie bardzo wiedział, co z sobą zrobić. Znał jego nieprzyjacielem stanowisko wobec carycy Katarzyny II. Kiedy wyjechał do Wiednia, został stamtąd na interwencję carycy wyproszony, jako niemiły widziany „rewolucjonista”. Korzystając potem z „łagodniejszego kursu”, wrócił do Warszawy, która stała się już podówczas podległym, leżącym na południowej granicy Prus miastem. Tu pogryzł się w wirze zabaw, pragnąc zabić gorycz i drażniąca go nudę. Tymczasem nad Wisłą orły napoleońskie, z poszumem sławy zawitały.

Książę chętnie wróciłby wtedy do spraw publicznych, ale czuł się politycznym, nikomu niepotrzebnym bankrutem. Był przecież bratankiem ostatniego króla Polski, któremu przypisano wszystkie nieszczęścia ostatnich lat Rzeczypospolitej. Jako dowódca wojskowy miał zaszarganą opinię po porażce na Woli. Nie brał udziału w epopei Legionów, nie wrócił z nimi „z ziemi włoskiej”. Gen. Jan Henryk Dąbrowski, wytrwały napoleończyk i organizator polskich sił

zbrojnych na obczyźnie, miał prawo liczyć na względy Bonapartego i lada chwila spodziewał się nominacji na ministra wojny Księstwa Warszawskiego. Ale Poniatowski nieoczekiwanie zyskał nowego przyjaciela: króla Neapolu Joachima Murata, tak jak i on zaprzysiężonego kawalerzystę i kowieciarza. Przy winie w Pałacu Pod Blachą dogadali się szybko. Napoleon potrzebował człowieka nie tylko o sławnym nazwisku, ale również z arystokratycznym tytułem. Powierzył mu organizację Wojska Polskiego. Poniatowski nie zawiodł Bonapartego, nie zawiodł też Polaków. I oto z wolna w charakterze księcia-hulaki, księcia-bawidamka, zaczęła dokonywać się przemiana. Wyrastał wybitny mąż stanu, polityk, organizator wojskowy i dowódca. Szczególnie zasłużył się książę w organizacji armii Księstwa Warszawskiego. Była to prawdziwie nowoczesna armia, po raz pierwszy od czasów króla Jana III znakomicie wyszkolona, a ponadto przesiąknięta prawdziwie obywatelskim duchem, w której z wolna zaczynały zacierać się różnice klasowe, w której decydowało wykształcenie i umiejętności dowódcze. W armii tej znajdowali się jeszcze w małej liczbie, ale już widoczni — oficerowie pochodzenia mieszczańskiego i chłopskiego. Była to jedna z najwspanialszych armii w naszej historii. Dowiodła tego w pamiętnym 1809 roku, kiedy to stawiała zwycięski opór przeważającym siłom austriackim.

W tym roku mija 160 rocznica tej wojny, warto więc przypomnieć o niej w paru słowach.

Austria była w tym czasie wielce ufna w swoje siły. Uważano powszechnie, że geniusz Napoleona znacznie przyszedł. Arcyksiążę Karol wkroczył do Bawarii, a jednocześnie arcyksiążę Ferdynand d'Este, młodzianek wódz, któremu chciano dać możliwość łatwego zrobienia kariery (wszak to nie trudno rozgromić słabą armię polską!) — ruszył na Warszawę. Arcyksiążę był wychowany w tradycjach rycerskich. Przez cały okres kampanii popępiał ogromne głupstwa, ale nigdy nie można było odmówić mu rycerskości. O swym wkroczeniu powiadomił Poniatowskiego biletem wizytowym. Wkrótce też pojawił się na drodze do Warszawy z 35 tysiącami ludzi liczącym korpusem.

Księstwo Warszawskie nie było przygotowane do wojny. Poniatowski rozporządzał armią w sile ok. 14 tysięcy żołnierzy, wliczając w to sojusznicze wojska saskie, które wkrótce opuściły polskie szeregi, zubożając je o połowę stanu liczebnego. Właśnie te siły zaangażowały się w bitwę pod Raszynem. Była ona bardzo krwawa, obfitowała w szereg momentów krytycznych dla Polaków, a w pewnej chwili zdolny był po stronie polskiej do walki tylko jeden batalion, który książę Józef osobiście poprowadził do ataku, trzymając w zębach fajeczkę i z wielce niefrasobliwą miną. Bitwa ta skończyła się fiaskiem dla Austriaków. Ferdynand liczył, że rozbije armię polską, zajmie bez walki Warszawę i chwalebnie zakończy w ten sposób kampanię. Ale armii nie rozbił i Warszawy nie zdobył. Zdecydował się na pertraktacje. I tutaj książę Józef po raz drugi naraził się mieszkańcom stolicy. Oddał Warszawę bez walki, a sam wycofał się do Modlina. Wyjeżdżając, słyszał okrzyki: „zdrajca”, rzucano za nim kamieniami.

Arcyksiążę uważał, że wojnę zakończył. Zdobył przecież stolicę Księstwa Warszawskiego i spodziewał się, że resztki armii polskiej wymaszerują na Zachód, do Francji. Tymczasem w Modlinie po naradzie wojennej, wodzowie polscy rozdzielili swe wojska i ruszyli do akcji. Gen. Dąbrowski udał się do Wielkopolski, gen. Zajęczek w Płockiem pilnował z dala ruchów arcyksięcia, a Poniatowski udał się do Galicji. Wziął ze sobą dwa pułki piechoty, pod dowództwem gen. Michała Sokolnickiego, pułk piechoty i jazdy gen. Kamińskiego i trzy pułki jazdy gen. Feliksa Roźnińskiego. Pod Wiązowną starł się z Austriakami i rozbił ich, po czym wkroczył do Galicji. Tutaj wydał gorącą odezwę, zwiastującą swe przybycie i prosząc o pomoc w walce z Austriakami. Apel nie pozostał bez echa. Jego marsz poprzedzała

uskrzydłona wieść, od której błądy strach padał na cesarskie garnizony. Poniatowski stoczył bitwę pod Kockiem, następnie szedł na Lublin, wreszcie na Zamość. Pod Zamościem walczyli również ochotniczo chłopcy z pobliskich wsi. Usatysfakcjonowany masowymi objawami patriotycznej postawy Galicjanin książę Józef wydał nową odezwę:

„POLACY GALICJANIE!

Gdym na ziemię Waszą, niegdys Ojcom naszym wydartą, z wojskiem pod moją komendą zostającym wchodził, przez skromną do Was jako do braci odezwę, chciałem naprzód doświadczyć, czy nimi istotnie być nie przestaliście.

Przyjęliście nas wszędzie obywatelami, jak się spodziewać należało, a zapal Wasz na widok żołnierza polskiego i naturalne serce skłonienie tak są widoczne, że bynajmniej wątpić nie mogę, abyście kolo nas ochotczo stanąć nie chcieli i dzielić trudy wojenne przez miłość Ojczyzny Polakom uprzyjemnione. Wzywam Was przeto bracia do wstąpienia w nasze rotę, w których już od lat wielu, wielu waszych żołnierzy z chlubą dla Ojczyzny walczy. Idźcie za tym przykładem i za Waszym czuciem, którego ani przytłumić, ani utrzymać nie zdołacie. Pamiętajcie, że w czasie ostatniej wojny uczynili, gaj dla oazy skądś bytu naszego, na własnej ziemi, niszcząc majątki nasze, walczyliśmy z wytrwałością i poświęceniem. Polacy wszędzie sobie podobnymi być muszą”.

Do szeregów Wojska Polskiego zaczęli napływać ochotnicy. Potężny patriotyczny zryw ogarnął całą Galicję. Formowały się nowe pułki piechoty i kawalerii. Wszędzie witali z entuzjazmem żołnierze księcia Józefa zajmowali coraz to nowe miasta. W rękach polskich był już Sandomierz, Jarosław, Przemyśl, 1 czerwca polscy ułani wkroczyli do Lwowa.

W działaniach wojennych na terenie dzisiejszego województwa rzeszowskiego szczególnie odznaczyła się grupa kawaleryjska gen. Roźnińskiego. Wszedł on wszędzie podziw, skłaniając się z plutonem kawalerii, w celu organizowania „ruchawki” przeciwko Austriakom. W większych miastach próbowano organizować władze cywilne i wojskowe. Miało to miejsce w Przemyślu, Jarosławiu, Sanoku. Panowało ogólne przekonanie, że Galicja stanie się integralną częścią Księstwa Warszawskiego. Szereg wybitnych osób z terenu Galicji poparło wkraczające oddziały. Do takich należeli m. in. ks. Franciszek Siarczyński z Jarosławia, który ze łzami w oczach witał i błogosławił polskich żołnierzy. Ten zdolny ksiądz, kaznodzieja i publicysta musiał się potem pożegnać z nadzieją uzyskania godności biskupiej, do której był przewidziany, a to na skutek patriotycznej postawy w 1809 r.

Arcyksiążę Ferdynand, syty laurów, w dalszym ciągu okupował Warszawę. Wreszcie zorientował się, że coś tu nie jest w porządku. Opuścił stolicę bez walki, do której wnet wkroczył gen. Zajęczek, po czym ruszył na południe. Było jednak za późno. Dopadł wprawdzie ze swą 30 tysięcy ludzi liczącą armią, armię ks. Józefa i wydał mu bitwę pod Wrzawami, ale zakończyła się ona znowu dlań niepowodzeniem. Wprawdzie w efekcie Polacy musieli oddać Sandomierz i arcyksiążę zajął miasto, ale cóż z tego, kiedy w kilka dni później przyszła wieść: hobia; armia austriacka została rozgromiona pod Wagram, cesarz austriacki prosił o pokój.

Poniatowskiemu w pełnym opanowaniu Galicji przeszkodził korpus „sojusznicy” rosyjski ks. Golicyna. Mimo to ks. Józef zajął Kraków i utrzymał tzw. Galicję Nową, czyli trzeci zabór austriacki. W przyszłym traktacie pokojowym zabrakło miejsca na wyliczenie w granicach poszerzonego Księstwa Warszawskiego Sanoka, Jarosławia, Rzeszowa i Przemyśla. Nie zabrakło natomiast dla Galicjan miejsc w szeregach Wojsk Księstwa Warszawskiego. Wielu z nich wal-

(Ciąg dalszy na str. 8)

Ryszard Bilski

# „Czarne



Afrykański rejs (IX)

O Douali — największym porcie w Kamerunie — mówiło się od początku rejsu. Najczęstszym tematem były... „czarne błyskawice”. Kiedy po raz pierwszy usłyszałem to określenie — nie wiedziałem o co chodzi; domyślałem się tylko, że nie o wyładowanie atmosferyczne, bo co chwilę podczas tych rozmów powtarzała się nazwa jakiegoś nocnego klubu.

Wybraliśmy się na coca-cole. Nie zdążyliśmy jeszcze dobrze usiąść, a już zostaliśmy spiorunowani gorącymi spojrzeniami czarnych błyskawic. Trzeba przyznać, że... dzlewczyzny były naprawdę ładne, ubrane modnie, kuso i kolorowo. Prezentowały właśnie swe wdzięki w tańcu. Pierwszy raz widziałem taki taniec...

Gdy tylko szafa grająca ucichła, bez pytania dosiadły się do stolików, przy których marynarze popijali piwo. To błyskawiczne zapoznanie nikogo jednak nie raziło, było wymuszone, ale nie nachalne, ekstrawaganckie, lecz nie ordynarne. Nawet trudno doszukać się nietaktu w

tym, że „zapropowały”, by im zafundować piwo. Piły ten bardzo popularny i mocno reklamowany w Afryce napój — z umiarem. Żadna z tancerek nie była pijana, zresztą wszyscy goście trzymali się trzeźwo. Bawiono się wesoło, głośno i spokojnie, bez chuligańskich wybryków

Polacy są wszędzie, a także i w Douali. Panowie: Józef Bartowski i Zygmunt Dąbrowski sami odnaleźli reportera z „Nowin”, odożyli pilne i ważne sprawy i na godzinę przed wyjściem „Rzeszowa” w morze zameldowali się na statku. Z Dąbrowski — pracownik Centrali Handlu Zagranicznego „Paged” — darzy nasz statek szczególnym sentymentem... urodził się w Mrzygłodzie koło Sanoka. J. Bartowski zaś ma rodzinę w Leżajsku. Nie więc dziwnego, że nie zapomnieli o „Rzeszowie”. W Afryce są od kilku tygodni, z zadaniem przeprowadzenia rekonesansu w sprawie zakupu drewna okleinowego i sklejk-

# błyskawice

wego. Zjechali wzdłuż i wszerej Nigrię, byli w Sapele, dokąd my właśnie zaraz popłyniemy.

Sapele — najmniejszy port na afrykańskim szlaku „Rzeszowa”. Najmniejszy i najsmutniejszy. Statek stoi wśród... krzaków. Tak to nie przesada, zacamowała blisko brzegu jednego z kryków (dopływów) Nigru. Do Sapele płyniemy rzeką blisko 7 godzin. Dla nas pasażerów był to naj cudowniejszy odcinek podróży — podziwialiśmy piękną roślinność, zawieraliśmy błyskawiczne zakłady — w którą stronę skręci statek, gdy nasz sześciotysięcznik zbliżał się do zielonej ściany zamykającej dalszą drogę.

Kapitan Lubański nie schodził ze swego stanowiska dowodzenia ani na chwilę. Nawet obiad jadał na mostku. Nie dowierzał nigeryjskiemu pilotowi i sternikom, którzy mieli bezpiecznie przeprowadzić statek przez niezbyt głęboki, z licznymi mieliznami i w dodatku wąski i pokreślony kryk. Chwila nieuwagi i dziób „Rzeszowa” mógłby być w buszu. Wyciągnięcie statku z mielizny lub wyrwanie go z buszu drogo kosztuje. Placi się dolarami i... degradacją kapitana.

W Sapele staliśmy tydzień. Dzień i noc barki dowoziły ziarno kakaowe. Załadunek uтрудniały częste, lecz na szczęście przelotne opady. Mielśmy sąsiadów, dwa statki: ze Związku Radzieckiego i z Niemieckiej Republiki Federalnej. Wymienialiśmy z nimi filmy i wspólnie kopaliśmy piłkę.

Międzypaństwowe spotkanie Polska — NRF, w pilce nożnej zapisało się na długo w naszej pamięci, a zapewne i mieszkańcy Sapele będą je też pamiętać. Nasza drużyna, a szczególnie jej kapitan steward — Janusz Mazur i bramkarz — drugi mechanik Wiesław Żyliński zdobyli sobie sympatię publiczności. Nie da się ukryć — kibicowano za naszym zespołem i kiedy przeciwnicy strzelili wyrównującą bramę — wszystkim zredziły miny. Entuzjizm był ogromny, gdy dosłownie w ostatniej minucie — motorzysta — Wojciech Sawicki przechrzył szalę zwycięstwa na naszą stronę. Na chwilę zwycięstwo długo wiwatowano, do obowiązkowego „sto lat” przyłączył się także chór nigeryjskich.

A więc nie tylko rzeszowska „Stal” wystartowała w tym sezonie pomyślnie (wiemy o tym z „Głosu Marynarza”), również reprezentacja M/S „Rzeszów” zbiera laury i to w spotkaniach międzynarodowych.

Po emocjach sportowych czas na turystykę. W szalupie ratunkowej popłynęliśmy w nieznaną. Co kilkanaście minut dobi-

jaliśmy do brzegu, do położonych nad samą wodą wiosiek i osad. Witano nas bardzo serdecznie. Zapraszano do obejrzania wnętrza chat (były urządzone bardzo skromnie, ale pannał w nich ład i porządek, wszystkich zadziwiała czystość).

Cukierki, sok pomidorowy, sok owocowy — darowane dzieciom — otwierały nam wszędzie drogę, zwiędziliśmy wytwórnię... bimbru, fotografowaliśmy obnażone do połowy pracujące, widzieliśmy smażone węże (do jedzenia), na naszą cześć ścięto drzewo bananowe, bowiem na samym wierzchołku znajdowały się najbardziej okazałe i dojrzałe owoce.

Następna wycieczka, może nie obfitowała w tak atrakcyjne spotkania, lecz była nie mniej interesująca. Pojechaliśmy w głąb Nigerii samochodem. Tuż za Sapele zatrzymał nas patrol wojskowy. Na niespełna 50-kilometrowym odcinku drogi dokumenty kontrolowano jeszcze dwukrotnie. Trasa wiodła wśród plantacji kuczukowych, minęliśmy dwie wsie... w jednej znajdowała się nawet duża stacja benzynowa, a obok sklepik, w którym można było kupić coca-colę z lodówki. Celem wycieczki była ukryta wśród palm plaża i zatoczka z wodą od ameb woda.

Słów kilka o amebie, pasożyte, który wielu pasażerom spędza sen z powiek. Lekki ból brzucha i już wpadają w panikę. Niektórzy w obawie przed amebą rezygnują ze swoich porcji bananów i wyrzucają w morze zakupione w Sapele ananasy. Bać się jest czego, ameba jest bardzo trudna do wyleczenia, ale nie ma co przesadzać. Wystarczy tylko — jak mówi ochmistrz (optimista) kilka kryształków „fioletu” wrzucić do wody, wypukać w niej podejrzany o amebę owoc i po krzyku, można jeść spokojnie. Tak też robimy. Ubymi wody w organizmie rekompensujemy sokami z południowych owoców. Teskni człowiek za „Krynicyką”, której, niestety, zabrakło już od połowy rejsu. A pocimy się coraz więcej. Na domiar złego wysiadła klimatyzacja. Temperatura w kabinach przekracza czasem 30 stopni. W dzień jeszcze pół biedy, siedzi człowiek na pokładzie i szuka chłodu w orzeźwiająjącym wietrze. Ale w nocy, trudno zasnąć. Nie pomaga nawet czytanie i uspokajająca kąpiel w morskiej wodzie. Nie wyspani, spoceni, „spragnieni Krynicyki i piwa” (też już dawno zabrakło) chodzimy z kąta w kąt, szukamy dziury w całym i nie możemy doczekać się końca rejsu.

Pożegnaliśmy już Sapele, odstailiśmy drugi raz dwa dni na

redzie i trzy dni w porcie (załadunek) w Lagosie. Mamy za sobą Takoradii, pełne wiadomości dobrych i złych. Z Takoradii „Rzeszów” miał zabrać ładunek (tarcicy) na Wyspy Kanaryjskie. Ucieszyła nas perspektywa kilku godzinnego relaksu w Las Palmas. W ostatniej chwili wszystko się pokocioło i zegnaliśmy Kanary, płyniemy prosto do Europy. Mimo to wywoziłem z Takoradii wiele miłych wspomnień. Ten port jakoś szczególnie przypadł mi do gustu. Cała w tym zasługa — wspomnianych już w poprzednim reportażu — państwa Ostrowskich, którzy okazali się i tym razem wspaniałymi gospodarzami i organizatorami wolnego czasu, którego nam pasażerom nie brakuje.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego Takoradii zasługuje na szczególną uwagę. Właśnie w tym mieście można kupić — posiadając magiczną moc — figurkę. Kosztuje zaledwie jednego dolara, a pożytek z niej ogromny. Do każdego egzemplarza dołączona jest ulotka, w której czytamy: „Figurka ta używana jest przez kobiety, które od kilku lat nie mogą doczekać się potomstwa. Figurkę tę nosić należy w fałdach sukni na plecach przez siedem dni. Następnie ubiera się ją w białą sukienkę kretonową (perkalikową) i umieszcza na rozstajach dróg wraz z ofiarą ze zgniionych białych i czerwonych bulw tropikalnych (Disorce). Kobiety, które spełnia te warunki mogą się spodziewać, iż w przeciągu jednego roku urodzą dziecko”.

Jest środa, dzień marca. Przed ostatnim skokiem do Europy wstąpił na krótko do Abidjanu. (Wybrzeże Kości Słonowej). W tym porcie na redzie raczej rzadko kiedy stoi się dłużej, ale na wolne miejsce przy nabrzeżu trzeba nieraz poczekać. Tak jest właśnie dziś.

Doskonała okazja do refleksji i przesłuchania nagranej przy różnych okazjach taśmy magnetofonowej. Kiedy podstawiłem marynarzom mikrofon i namawiałem do wypowiedzi, lub kiedy udało mi się nagrać coś z ukrycia, nawet interesującego, nie przypuszczałem, że z tych urywanych zdań będzie można sklecić obraz marynarskiego życia.

Początek nagrania, początek nagrania...

„Rzeszów” to pływający hotel, komfort, wygoda, dobre jedzenie, trzeba było spróbować życia na „Darze Pomorza”. Przeszedłem tam twardą szkołę. Z pierwszego rejsu selekcyjnego odpadło kilkanaście osób, nie wytrzymał”.

„Pchają się do pływania. Wystarczy, że z jakiegoś miasteczka jeden dostanie się do szkoły

morskiej, za nim przyjdą setki. Nawet jak dostanie porządnie w siedzenie to się nie przyzna, będzie tylko opowiadał o przygodach, łatwym zarobku i innych przyjemnościach. Mało w tym prawdy”.

„To samo i z naszą pływającą Polonią. Jak rozmawiać z nimi w Afryce, to bideuse, niemalże dokładają do całego interesu. A podczas urlopu w kraju zachowują się jak milionerzy. No, pewnie, że nie będą narzekać wśród swoich — po co wyjeżdżali... ale chyba nie jest im tak źle, bo nie przedłużaliby „kontraktów”.

Robią z nas handlarzy, kombinatorów, „biznesmenów”. Wyliczają, ile to z każdego rejsu przywozimy i zarabiamy. Zadzroszczą nam tych kilkudziesięciu centów, czy nawet dolara otrzymanego za każdy dzień rejsu. Tylko nie wiedzą, że z pierwszego portu, młodszego marynarza nie stać na wysłanie do kraju kilku pocztówek par avion...”

„Już mieliśmy na statku kilku dziennikarzy, powypisywali niestworzone rzeczy — szukają tylko sensacji, połują i czekają na to, żeby się kto upił, wpadł do morza, albo nie wrócił z nocnej hulanki...”

„Co można zakombinować? celniczy tak dokładnie nas sprawdza przed wyjściem w morze, że nawet człowiek dla siebie boi się wziąć pod dostatkim „Prastarej”. Nie ma czasu na handel, jak nie służba, to znów do portu nie wchodzimy. Pasażerowie to mają ewentualnie czas na biznes, później mówią, że to my...”

„Pewnie, że o kobietach dużo się mówi na morzu. I czym dalej od domu, tym częściej. Pod koniec rejsu KOBIETY są tematem numer jeden...”

„Krzęcy anegdota, że marynarz, który wraca z rejsu powinien napisać o ostatniego portu, że za kilka dni będzie w domu, wtedy obejdzie się bez przykrych niespodzianek...”

„Albo, że należy zapukać do drzwi i prędko pobiec pod balkon... kochanek żony upadnie wówczas prosto w ręce...”

„Nie wiem ile w tym prawdy? Jedno jest pewne, że zoniom naszym wcale nie powodzi się lepiej, są też same, same chodzą po zakupy, do kina — jak teraz zmustrują — to wrócić dopiero na statek za trzy miesiące. Będę chodził na rynek po rzodkiewkę, po mleko do mleczarni i będę przynosił z piekarni świeże, chrupiące bułeczki...”

„Pan też się pewnie nasłuchał już o tych „czarnych błyskawicach” w Donali, albo o domach publicznych w Hamburgu. Ci, co płyną pierwszy raz i to najczęściej kawalerowie, owszem, zostawiają tam zaoszczędzone dewizy. Ale przezważnie tylko raz, w następnym rejsie już nie mają ochoty na te portowe przyjemności”.

„Jasne, że rozłąka nie wpływa dobrze na nerwy. Prawie każdy, dłużej pływający marynarz ma jakieś zaburzenia nerwicowe... mieliśmy w poprzednim rejsie takiego co nie tylko chciał wyskoczyć za burtę. Trze-

ba było chłopca związać i zamknąć w kabinie...”

„Najgorsze są święta. Pamiętam, bodajże było to w ubiegłym roku, staliśmy w Lagosie. Popiliśmy zdrowo, nie po to, by zapomnieć o wszystkim, ale po to by być bliżej swoich. Jak był młodziak, to był jego pierwszy rejs, poszedł kolo północy na dziewczynki. Rano, miałem akurat służbę na pokładzie, patrzyłem na statek, idzie... nudysta. Rozebrali chłopaka zupełnie. Wyleczył się z kobiet na zawsze...”

„Niektórych portów bardzo się nie lubi. Najchętniej stalibyśmy długo tam, gdzie są baseny. Marynarz ciągle na wodzie, a ma to wolę poczytać. Cierpimy na brak prasy. Przecież można by chyba usprawnić dowóz gazet. Można, na pewno. Przecież otrzymuje pan swoje „Nowiny” tylko z tygodniowym opóźnieniem...”

„Już nie jeden raz chciałem zrezygnować z pływania, zejść na ląd i już nie wrócić, w cywilu w moim zawodzie też ładnie zarobię, zajmę się domem, wychowaniem dzieci, pójdę do prawdziwego kina, w którym nie słychać terkotu aparatu i nie zrywa się taśma. Ale gdzie tam, jeszcze się urlop nie skończył, a już mnie ciągnie na statek. Jakiegoś rozdwojenie szczęścia: jestem na statku — wówczas dom wydaje mi się najszczęśliwszym miejscem na świecie, a jestem zbyt długo w domu — tęsknię za morzem”.

„Na morzu żyje się inaczej, nie ma biurokracji, wszystko załatwia się od ręki, szybko i dobrze, może dlatego trudno pogodzić się nam z obowiązkowymi na lądzie zwyczajami... koniec nagrania...  
Ryszard Bilski

## Kronika filmowa

### MONTAND W USA

**NOWY JORK** Yves Montand wystąpił w amerykańskim musicalu „W jasny dzień”. Jego partnerką będzie Barbara Streisand, reżyseruje weteran Hollywoodu Vincente Minnelli.

### MEXICO W CANNES

**MEXICO** Dokumentalny film o zeszłorocznych Igrzyskach Olimpijskich w Meksyku pokazany zostanie poza konkursem na najbliższym festiwalu w Cannes. Obecnie trwa selekcja materiałów, obejmujących 70 tys. m filmu.

### PRODUKCJA USA

**HOLLYWOOD** W zeszłym roku nakrecono w USA 118 filmów (w 1967 — 85). Dalszych 150 filmów produkcji amerykańskiej powstało poza granicami Stanów Zjednoczonych.

### „GIOVINEZZA, GIOVINEZZA...”

**RZYM** „Giovinezza, giovinezza...” — ta faszystowska pieśń posłuży jako tytuł filmu, który nakreca postępowy reżyser Franco Rossi. Bohaterowie utworu, to czwórka włoskich studentów; ich losy zostaną ukazane na przestrzeni lat 1937—1941.



gałąź. Przeł. H. Krzeczowski. Przedm. J. Lutyński. PIW. s. 576, cena 70 zł.

Ten uczony, filolog klasyczny, antropolog, historyk wierzeń i religii pierwsze wydanie opublikował jeszcze w 1890 roku. Całość kolejnych wydań miała dwadzieścia tomów. A więc wersja skrócona dociera do rąk polskiego czytelnika. Jest to skarbnica niezwykłych i egzotycznych zwyczajów, przesądów i ciekawostek. Studium pierwotnych wierzeń i mitów.

**NADINE GORDINER: NA PEWNO W KĄTYCH PONIEDZIAŁEK.** Przeł. A. Glinocznanka. PIW. s. 276, cena 20 zł.

Jedna z czołowych pisarek Afryki południowej. Po powieści „Świat obcych ludzi” prezentuje polskiemu czytelnikowi tom — złożony z ośmiu opowiadań. Współczesna Afryka i jej problemy. Psychologia i obyczaje.

**JADWIGA ŻYLIŃSKA: HERVÖR I BRACIA.** Opowiadania. PIW. s. 296, cena 20 zł.

Oczywiście, co jest tradycją autorki, epoka Sredniowiecza. Erudycja uwzględniła na żywa i plastyczna wizje odległych dziejów.

**POD NIEBEM POŁNOCY I POŁUDNIA.** Iskry. s. 272, cena 12 zł.

Na ten tom reportaży składają się utwory Macieja Patkowskiego, Ja-

nusza Krasieńskiego, Romana Samsela, Aleksandra Minkowskiego, Dionizego Siderskiego i Józefa Lenarta. Duża doza literatury.

**KRZYSZTOF WOLICKI: WSZYSTKO JEDNO CO O 1930.** Szkice o literaturze w teatrze. PIW. s. 436, cena 30 zł.

Autor pisze „Przedmiotem niniejszej książki jest współczesna dramaturgia polska w jej złożonych zależnościach: od teatru... od widowni... od ogólnoeuropejskiej świadomości kulturalnej i estetycznej...” w pewnej perspektywie historycznej.”

**LUDWIK B. GRZENIEWSKI: LEONA CHWISTKA „PALACE BOGA”.** Próba rekonstrukcji. PIW. s. 208, cena 20 zł.

Pomysł tej powieści powstał, a chyba też jej kształt, w latach 1932—1933. Nie ukazała się w wydaniu książkowym. Maszynopisy zginiły w czasie wojny. W 1944 zmarł autor. Próba rekonstrukcji na podstawie ocalałych fragmentów.

**KAZIMIERZ DZIEWANOWSKI: KAIRSKIE A B C.** Iskry. s. 408, cena 32 zł.

To już dziewiąta pozycja z tego cyklu prezentującego stolice państw i kraje. Tytuły kilku rozdziałów: Atryka, Arabowie, Bahr, czyli Nil, Cairo, le Caire, El Kahira, Kair...

**GUENTER HOFE: CZERWONY ŚNIEG.** Przeł. E. Bielicka. Wyd. Poznańskie. s. 446, cena 30 zł. Wyd. II.

Wznawienie powieści współczesnego pisarza z NRD. Okres II wojny światowej. Front wschodni. Faszyci i antyfaszyci.

**STANISŁAW STRUMPE WOJTKIEWICZ: GRA WOJENNA.** PIW. s. 424, cena 30 zł.

Znany w Polsce pisarz batalista. Tym razem prezentuje nam zbeletryzowaną historię Polskiego Ruchu Oporu we Francji w latach 1940—1944. Jak zwykle ciekawe.

### POEZJA

**TEOKRYT: SIELANKI.** Przeł. i opr. A. Sandauer. PIW. s. 132, cena 15 zł. „Złota biblioteka”.

**ROBERT BROWNING „Poezje wybrane”.** Wyb. Przekł. i słowo wstępne J. Żulawski. PIW. s. 150, cena 20 zł. „Złota biblioteka”.

**BOGDAN JAN BALCEROWICZ: ŚLADEM SŁOŃCA.** Wyd. Morskie. s. 54, cena 10 zł. Ur. 1939 rok.

**MARIAN DZWINEL: Wiersze.** Iskry. s. 48, cena 10 zł. Ur. na Litwie w 1939 r.

**ALEKSANDER WOJCIECHOWSKI: OTWARCIE SKRZYDEŁ.** Iskry. s.

60, cena 10 zł. Ur. w 1930 r. wiceprezes Poznańskiego Klubu Literackiego Młodych ZLP.

**BRONISŁAW WIECZORKOWSKI: WYBÓR WIERSZY. HEBEL I SŁÓWO.** Wyd. Łódzkie. Wstęp. St. Czerwik. Wiersze poety-robotnika.

**KODEKS DROGOWY.** Wg stanu prawnego na dzień 1 stycznia 1969 r. Wyd. Prawnicze. Wyd. VIII. s. 312, cena 18 zł.

**JANINA WIĄCEK — ORŁOWSKA: NADZÓR NAD STOWARZYSZENIAMI.** Wyd. Prawnicze. s. 144, cena 19 zł.

**HENRYK SKIBA: WKŁADY GRUNTOWE W ROLNICZYM SPÓŁDZIELNIACH PRODUKCYJNYCH, ZAGADNIENIA PRAWNE.** Wyd. Prawnicze. s. 216, cena 25 zł.

**IZABELA BIELICKA: ROZMOWY O RODZICACH I DZIECIACH.** PZWL. s. 156, cena 20 zł.

**TEOFILA BYSTRZANOWSKA: CO WIEMY O CHOROBACH ZATOK.** Wyd. II. PZWL. s. 55, cena 4 zł.

**STANISŁAW BOGUSŁAWSKI: BÓLE GŁOWY.** Wyd. IV. PZWL. s. 64, cena 4 zł.

**V ZJAZD POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ.** Steonogram. Warszawa II XI — 16 XI 1968 r. KiW. s. 1016, cena 45 zł. Staranna edycja, szkoda, że tylko w nakładzie 15 tys. egz.

**LENIN W PARYŻU.** Wyd. Literackie. s. 240, cena 190 zł.

Album. Bardzo pięknie i starannie graficznie wydany. Cytuje: „Rok 1908. Pochmurny, grudniowy dzień. Dworzec Lyoński. Z pociągu wysiada pewien człowiek nazwiskiem Włodzimierz Ulanow. Wydarzenia, idee, klimat epoki. Mała ilustrowana kronika pobytu Lenina w Paryżu. Otworzył Charles Fejd dzięki pomocy kilku naoznych świadków. Przetoczył Leszek Kossobudzki”.

**JAMES GEORGE FRAZER: Złota**

## ZDARZENIA TYGODNIA

Ostatnio odbyło się statutowe zebranie sprawozdawczo-wyborcze Oddziału Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza w Rzeszowie, na którym podsumowano działalność za ostatnie 2 lata i wytyczono kierunki na następną kadencję. Jak ze złożonego sprawozdania wynika, Oddział prowadzi ożywioną działalność na odcinku naukowo-badawczym i popularyzacyjnym literatury polskiej. Celowi temu służą sesje, posiedzenia naukowe i akcja odczytowa. W planach pracy na najbliższy okres przewiduje się zorganizowanie wspólnie z Rzeszowskim Towarzystwem Przyjaciół Nauk i WSP sesji, poświęconej życiu i twórczości Jana Wiktora. Podobną sesję Towarzystwo zorganizuje wspólnie z ZDK Huty „Siłowa Wola” i Muzeum Lasowickiego. Z innych akcji wymienimy tu oboz wędrowny z udziałem pisarzy i poetów ziemi kieleckiej, posiedzenia naukowe, poświęcone omówieniu twórczości poetyckiej i prozaicznej w okresie 25-lecia PRL.

Znany z długoletniej działalności na terenie Rzeszowa i województwa Oddział Polskiego Towarzystwa Archeologicznego odbył swoje doroczne zebranie sprawozdawcze i dokonał wyboru delegata na krajową konferencję archeologiczną.

Oddział skupiający archeologów i miłośników archeologii odbył w 1968 r. 4 posiedzenia naukowe, poświęcone omówieniu najnowszych wyników badań na terenie województwa rzeszowskiego i kraju. Prowadził także działalność popularyzacyjną poprzez organizację odczytów dla młodzieży i starszego społeczeństwa. Oddział współpracuje także z wieloma towarzystwami naukowymi. Szczególnie bliska współpraca prowadzona jest z PTTK na odcinku społecznej opieki nad zabytkami. Realizacja planu na rok 1969 będzie przebiegać pod znakiem zwiększenia tej współpracy. Ideę tę odzwierciedla przyjęte hasło: „Każdy członek PTA — społecznym opiekunem zabytków”. Członkowie Oddziału współpracują także z Rzeszowskim Ośrodkiem Archeologicznym.

Ostatnio odbyło się plenarne posiedzenie Okręgowej Społecznej Komisji Opieki nad Zabytkami, działającej przy PTTK. Omówiono na nim sprawy organizacyjne, a szczególnie udział Komisji Okręgowej i oddziałowych w obchodach 25-lecia PRL. Podstawę do dyskusji stanowił referat B. Cmell pt. „25-lecie PRL w pracy społecznych opiekunów zabytków”, w którym postulowano konieczność zwiększenia liczby społecznych opiekunów zabytków, szczególnie spośród nauczycieli i członków organizacji młodzieżowych, tj. ZMS, ZMW, ZHP. Rozszerzenie aktywności w opiece o wiele cenniejsze, położonych z dala od centrów, zabytkowych obiektów. Wiele uwagi poświęcono także organizacji społecznych placówek muzealnych i izb pamiętek.

W dniu 31 marca odbyło się plenarne posiedzenie Zarządu Okręgu Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich w Rzeszowie z udziałem przedstawicieli oddziałów powiatowych.

Na porządek obrad złożyły się sprawy organizacyjne, sprawozdanie za II półrocze ub. r. i plan pracy na rok bieżący oraz wybór delegatów na ogólnokrajowy zjazd SBP. Omówiono także współdziałanie bibliotek w świetle ustawy o bibliotekach oraz uchwały VI Zjazdu Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich. Wiele miejsca w dyskusji poświęcono powiększeniu szeregów SBP, zwłaszcza spośród bibliotekarzy spoza sieci bibliotek publicznych.

W Wojewódzkim Domu Kultury odbyła się w dniu 31 marca konferencja przedstawicieli radiowców powiatowych, zorganizowana przez Wydział Kultury Prez. WRN. Warto przy okazji nadmienić, że wydział ten przejął ostatnio nad nimi opiekę merytoryczną.

W trakcie spotkania zast. kier. Wydziału Propagandy KW PZPR Józef Pomieć przedstawił zebrany materiał dla radiowców w kampanii wyborczej do Sejmu i rad narodowych. Red. nac. Rozgłośni Polskiego Radia w Rzeszowie Zygmunt Wójtowicz omówił niektóre problemy pracy tych ośrodków propagandy, a zast. kier. Wydz. Kultury Józef Kanik mówił o obchodach 25-lecia PRL.

W przemyskim Studium Nauki i Wychowania zakończono zajęcia Studium kulturalno-oświatowego, zorganizowanego wspólnie z WDK.

Jak wiadomo, uczestniczyli w nim słuchacze SN, którzy równocześnie ze studiami zapoznawali się z tajnikami wiedzy o tańcu. Po złożeniu egzaminu 18 osób otrzymało zaświadczenia ukończenia kursu podstawowego. Pomoże im to niewątpliwie w przyszłej pracy z młodzieżą szkolną, a także na rozwinięcie działalności w środowiskach, w których się znajdują po ukończeniu nauki.

## CZY ZNASZ AKTORÓW FILMU POLSKIEGO



25 LAT POLSKI LUDOWEJ PRZEGLĄD POLSKICH FILMÓW 1969 R.



## ? KONKURS



KINEMATOGRAFIA POLSKA W 25-LECIE PRL  RZESZÓW

### KONKURS

Konkurs „CZY ZNASZ AKTORÓW FILMU POLSKIEGO” zorganizowany został z okazji Przeglądu Filmów Polskich 1969 r. przez Centralę Wynajmu Filmów, Wojewódzki Zarząd Kin i „Widnokrąg”.

Uczestnicy konkursu powinni odgadnąć nazwiska aktorów, których prezentujemy. Rozwiązanie należy przysłać na kart-

kach pocztowych w terminie do dnia 30 kwietnia br. pod adresem Centrala Wynajmu Filmów — Rzeszów, ul. Rejtana 2 z dopiskiem „Czy znasz aktorów filmu polskiego”. Dla tych, którzy nadesłają trafne odpowiedzi organizatorzy przewidzieli nagrody: APARAT FOTOGRAFICZNY, SUSZARKA DO WŁOSÓW, KOMPLET DO PISANIA oraz 10 nagród książkowych.

## Galicjanin księżę Pepi

(Ciąg dalszy ze str. 6)

czyło potem na różnych frontach napoleońskich, stanowiący żywą więź z prowincjami polskimi za kordonem.

Warszawa nigdy nie kochała ks. Józefa. I on czuł się bliższy Galicji. Znał ją doskonale, jeszcze z lat młodzieńczych, kiedy jako cesarski pułkownik formował na terenie Tarnowa, Przemysła i Jasła ochotniczy korpus kawalerii do walki z Turcją. Był rodowitym wiedeńskim, kochał to miasto, ale był także polskim patriotą. Dowiódł tego całym swoim życiem, a zwłaszcza w 1809 r., kiedy dla dobra ojczyzny nie zawahał się

wystąpić przeciwko swym dawnym przyjacielom, kolegom i protektorom. Wielokrotnie ponawiano ze strony Austrii próby „kupienia” ks. Józefa. Był przecież synem Austriaczki i austriackiego feldmarszałka. Ciągłe ludzono się, że księżę Pepi wrócił do monarchii austriackiej, jak syn marnotrawny. A „syn marnotrawny” podniósł na Austrię „świętokradczą” rękę. Chciał jej odebrać perłę koronną — Galicję! Bo książe Józef Poniatowski nie pamiętał o tym, że urodził się w Wiedniu. Pamiętał natomiast, że przede wszystkim jest Polakiem!

RYSZARD DZIESZYŃSKI

Jak co roku tradycyjna „babka” święteczna.



WANDA AKSAMIT, kierownik biura Rzeszowskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Rys. J. SIENKIEWICZ

## Kartki dla Ewy

# Memoriał

Jesteśmy nudne i małostkowe. C z e p i a m y się byle głupstwa. Taką etykietę przyklepiono kobiecie. A jest ona przecież istotą gołębiego serca i stalowych nerwów, znakomicie uodpornioną na wszelkie życiowe kataklizmy. Gradobicie, rozwód, szkarlatyna i mole groźne są tylko za pierwszym razem. Potem już świetnie dajemy sobie z nimi radę.

Wraz ze szczytkiem Adamowego zębra wmontowano nam doskonałe prosperujące szare komórki, dlatego też w obliczu doniosłych wydarzeń stać nas na szybki refleks, kamienną twarz i dyplomację. Działamy bez pudła z logicznym wyrachowaniem, choć poniektórzy twierdzą, że logika z poczynaniami kobiety nic nie ma wspólnego. Rzekomo kierujemy się wyłącznie intuicją i babskim widzimisię, a przecież spóby te niewiele mają wspólnego z sukcesami zawodowymi, jakie są udziałem płci nadobnej. Można sypanąć przykładami, ale po co. Mężczyźni, mimo dowodów czarno na białym i tak nam nie uwierzą. Twierdzić będą tylko, że buzie nam się nie zamykają od rana do wieczora, a klepiąc bez sensu, zatruwamy im życie. Kobieta ich zdaniem jest utalentowana wyłącznie w gadulstwie i na tym polu dotychczas nikt jej nie pokonał. Przez grzeczność nie oponujemy, bowiem znane nam są zasady gentleman agreement. Niemniej jednak w sposób wysoce taktowny informujemy, że na prestrzeni dziejów historia nie notuje postaci kobiet biegłych w sztuce oracji.

Retoryka należy do mężczyzn. Oni to święcą triumfy jako mistrzowie palestry, komentatorzy wydarzeń politycznych, uczestnicy konferencji i sympozjów. Rozmowa kobiet zawsze nazywa się mękoleniem. Prawo do wymiany poglądów mają wyłącznie mężczyźni. Niestety, własny dom nie stwarza im ku temu odpowiedniej aury. Pozostaje grzane piwko w barze i doborowi kumple. Tam można uzgodnić wszelkie zasadnicze kwestie.

Kobietom brak na to czasu. Kiedy mają wolną chwilę przyrządzają maseczkę z płatków owsianych, albo czytają kryminał w odcinkach. Czasem wpadają z bliską kumą na pół czarnej i ciastko. Rozmawiają o sprawach nader prozaicznych: nauka dzieci, humory męża, odnowienie mieszkania, zdrowie rodziny. Przeważnie brak im czasu na dyskusję o naprawie świata.

Zdaniem mężczyzny pleciem o bzdurach, tymczasem taka rozmowa jest wentylem bezpieczeństwa przed ostatecznym znudzeniem. Co by było, gdybyśmy z każdym problemem wzorem Amerykanek biegały do psychiatry? Jak dotychczas z usług tych lekarzy u nas korzystają w większości panowie. Poddani wielkim stressom i jeszcze większym frustracjom nie znajdują relaksu w codziennych sprawach. Godzenie drobniaków z problemami przekracza ich możliwości. Tę umiejętność posiadły tylko kobiety. Rewelacyjnie łączą cerowanie skarpetek z pracą naukową i gotowanie bigosu z rządzeniem na dyrektorskim stolcu.

Wielokierunkowość jest cechą umysłów wybitnych. Nie chwając się stwierdzić, że istoty z nas skromne, ale genialne. Jako takie wymagamy szczególnych względów, tudzież zaznaczamy, iż należy nas chronić jak pisklęta, kwiaty mimoz, sewską porcelanę, książeczkę PKO, ukochaną maskotkę i murzyńskie tabu.

Ponieważ jednak mężczyźni twierdzą, że jesteśmy małostkowe i c z e p i a m y się byle głupstwa, zezwalamy im wspaniałomyślnie na: chlapanie w łazience, sypanie popiołu z papierosów do zlewu, wrzucanie śmieci za tapczan i pod szafę, trzymanie skarpet w kredensie i czytanie gazety przy stole. Grunt to wyrozumiałość! Potem już bez trudu każda dyskusję można zacząć od „gdyby” lub „a nie mówiłam”.

Coś się nam należy w rewanż!

BEGA